Nr. 10. Warszawa, dnia 5 Marca (22 Lutego) 1892 r. Rok XII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

MOWA.

Chociaż wydano już wiele broszur i dziełek, zajmujących się osobą cesarza niemieckiego, chociaż prasa europejska, często umiejąca podpatrzeć najskrytsze tajniki, uwydatniła w nim niejeden szczegół charakterystyczny, mimo to Wilhelm II pozostaje ciągle postacią niejasną. Dostrzegamy w nim bowiem właściwości tak rozmaite, dążenia tak sprzeczne, że trudno wyobrazić sobie dokładnie, kim on jest i dokąd zmierza. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zagadkowość ta nie jest objawem głębi, ale raczej chwiejności umysłu. Wnuk Wilhelma I nie spodziewał się tak szybko zasiąść na tronie, zatem wielu spraw państwowych nie zdążył należycie zbadać i przemyśleć; wynagrodzić zaś ten brak mógłby tylko wyjątkowemi zdolnościami, których, zdaje się, nie posiada. To też polityka jego nie zdradza planu, konsekwencyi i ścisłości, jest jak gdyby improwizowana z dnia na dzień. Jako książę wynosi on pod niebiosa Bismarka i niemal wkłada mu w ręce berło, jako cesarz usuwa go bez ceremonii. Znosi prawo przeciw socyalistom i zwołuje do Berlina konferencyę międzynarodową w sprawie robotniczej — a teraz znowu myśli o tłumieniu ruchu robotniczego. Nakłania ucho ku żywiołom liberalnym i wprowadza ustawę gminną, która oburza konserwatystów; obecnie nadaje szkole podstawę wyznaniową i okazuje odrazę liberałom. Nie zestawiamy innych przeciwieństw, które tworzą długi łańcuch, gdyż te wykazują dostatecznie, że Wilhelm II płynie swym „nowym kursem“ bez busoli i skręca nawę państwową w rozmaite strony według chwilowego upodobania. Czy jednakże śród tych nagłych zwrotów, śród tego splątanego wątku nie można uchwycić jakiejś wspólnej nici, która je łączy? Niewątpliwie, a nicią tą jest stała chęć oswobodzenia swej woli z ograniczeń konstytucyjnych i przeważanie nią szali spraw państwowych. Ten rys ustawicznie się powtarza w słowach i czynach Wilhelma II. Już jego przeróżne „erlassy“ — odezwy i rozporządzenia, które, wbrew warunkom konstytucyi, wydawał pod własnem tylko imieniem, bez podpisu ministra, zdradzały chęć złamania organicznego zwyczaju, a nawet prawa i usamowolnienie się we władzy. Zwróciło to odrazu powszechną uwagę i wywołało w prasie komentarze. Jeszcze wyraźniej i z większą świadomością celu odsłonił swą naturę cesarz niemiecki w kilku aforyzmach, które szybko rozbrzmiały po całym kraju. Zapisując się np. w albumie, położył znane wyrażenie łacińskie: „najwyższem prawem jest wola króla“; pod fotografią, ofiarowaną ministrowi Gosslerowi, nakreślił inne zdanie łacińskie: „tak chcę, tak rozkazuję.“ Przemawiając na uroczystości otwarcia sejmiku brandeburskiego, wyrzekł: „Tego, kto będzie mi się opierał, zmiażdżę.“ Niedwuznaczne te maksymy rzucały na „nowy kurs“ światło bardzo jaskrawe i kazały niemcom policzyć się z możliwością nieoczekiwanego rozszerzenia przywilejów korony. Nareszcie przed kilkunastu dniami, podczas tej samej uroczystości sejmiku brandeburskiego, na której przed dwoma laty padła groźba „zmiażdżenia“ przeciwnika, wypowiedział Wilhelm II mowę, przewyższającą swym mętnym i gwałtownym tokiem wszystkie poprzednie. Oto jej ustęp, który uderzył jak piorun ze zbierającej się dawno chmury. „Stało się niestety zwyczajem, wszystko, co wychodzi od rządu, nicować i zniesławiać. Z najmarniejszych powodów narusza się ludziom spokój i zatruwa ich radość z bytu, życia i pomyślności całej naszej wielkiej ojczyzny niemieckiej. Z tego nicowania i podszczuwania powstaje u wielu myśl, że kraj nasz jest najnieszczęśliwszym i najgorzej rządzonym w świecie i że życie w nim stanowi prawdziwą mękę. Że tak nie jest, wszyscy naturalnie wiemy dobrze. Czy jednakże nie byłoby lepiej, gdyby niezadowoleni krytycy (Nörgler) otrząsnęli pył niemiecki ze swych pantofli i co prędzej opuścili nasze nędzne i opłakane stosunki?“ Pod czyim adresem wyleciała w świat ta rada? Niektórzy chcieli ją skierować wyłącznie do Friedrichsruh, ale wkrótce zauważono, że jej „hinaus!“ stosowało się do całej opozycyi. Jakież żywioły od wstąpienia na tron Wilhelma II stawiły opór rządowi? W sprawie ustawy o zarządzie gminnym i powołania Miquela do ministeryum, konserwatyści i centrum; w kwestyi szkolnej narodowo-liberalni, postępowcy i demokraci; w wielu innych wypadkach socyaliści, właściwie zatem wszystkie stronnictwa, czyli cały naród powinien „otrząsnąć pył niemiecki ze swych pantofli“ i poszukać sobie innej ojczyzny. Do takiego stopnia wszyscy uczuli się skazani na wygnanie, że posłowie, witając się nazajutrz w parlamencie, z uśmiechem patrzyli sobie wzajem na buty, czy mają zakurzone, a na giełdzie puszczono żartobliwą pogłoskę, że w przewidywaniu wielkiej emigracyi akcye towarzystw przewozowych podskoczyły w cenie. Znowu przeto z ust Wilhelma II wybiegły słowa niejasne i zagadkowe, świadczące jednak i tym razem o jego chęci wzniesienia się po nad konstytucyę i zerwania stosunku zależności od stronnictw. Ten — że tak powiemy — popęd woli targającej więzy przenika całą mowę. „Postępować będę drogą — prawił dalej cesarz— którą mi niebo wytknęło. Łączy się z tem uczucie odpowiedzialności przed naszym najwyższym panem tam w górze i moje niezłomne przekonanie, że nasz *dawny sprzymierzeniec* z pod Rossbachu i Dannewitzu nie opuści mnie. Zadał on sobie tyle niezmiernej pracy z naszą starą monarchią i naszym domem, że trudno przypuścić, ażeby to uczynił nadaremnie.“ Gazety ruskie, rozbierając ten ustęp, pytają, o jakim sprzymierzeńcu wspomina cesarz niemiecki? Otóż jak łatwo wyrozumieć, ma on na myśli „najwyższego Pana w niebie,“ który — według niego — zadawszy sobie wiel-

ki trud nad wyniesieniem Prus i rodziny Hohenzollernów, zrobił to dla jakichś wielkich celów; cele te właśnie ma osiągnąć Wilhelm II, obiecujący brandeburczykom, że ich „prowadzi ku wspaniałym dniom.“ Zaiste, trudno dalej posunąć wiarę w siebie i lekceważenie innych. Bismark zapewniał, że „Niemcy nikogo się nie boją, prócz Boga,“ Wilhelm II oświadcza, że nikogo nie potrzebuje do rady, gdyż ma ją bezpośrednio od Boga, którego przeznaczenia spełnia. Czem wobec tej misyi jest jakaś konstytucya niemiecka, parlament, stronnictwa i inne czynniki państwa! Marnością, rojem owadów pełzających u nóg olbrzyma.

Nie można dziwić się niemcom, że po tej oracyi zaczęli szemrać, a nawet drżeć. Czy jednakże Wilhelm II dąży do zamachu stanu? Nie sądzimy. On tylko, dogadzając swemu wewnętrznemu pragnieniu, lubuje się w silnych wyrazach, w wyniosłej deklamacyi, brzmiącej tonami absolutyzmu, która nie zrodzi odpowiednich czynów. Tego rodzaju mowy jedynie szerzą popłoch, drażnią nerwy i wytwarzają niepewność położenia, która niemcom najbardziej dokucza. Nie wiedzą, kto właściwie nimi rządzi i dokąd ich prowadzi, pomimo zapewnienia, że czekają na nich „wielkie dzieła.“

POLITYKA SPOŁECZNA W BELGII.

Belgia przedstawia nam obecnie nadzwyczaj ciekawy—jedyny może od epoki czartyzmu — wypadek życia politycznego. Silny prąd niezadowolenia nurtuje ogniska przemysłowe, mając za przyczynę, jak zwykle, nędzę. Ale co najważniejsza, iż środków zaradczych robotnicy szukają w... głosowaniu powszechnem. Zdaje się z pozoru, iż kwestya społeczna jest czysto ekonomiczną, a zatem, że rozstrzygnięta być może jedynie na gruncie właściwym — dobijaniem się w każdem zajęciu krótszego dnia, większej płacy, zakładaniem kas itd. Tymczasem doświadczenie z dotykalną oczywistością wykazało, iż to zagadnienie czysto ekonomiczne może być rozwiązane tylko za pomocą środków politycznych. Sprawę robotniczą musi ująć w swe ręce państwo: jedynie ono drogą reform prawodawczych zdoła wywrzeć skuteczny w tym względzie wpływ. Ale państwo jest obecnie w Belgii wyrazicielem interesów samej burżuazyi, gdyż robotnicy dzięki wysokiemu cenzusowi są odsunięci od życia politycznego. I oto dlaczego znajdują się oni w ciągłem wzburzeniu, od roku 1886 kilkakrotnie grozili bezrobociem powszechnem, a nawet je wszczynali. Środków tych używają w celu zdobycia przystępu do urn wyborczych. A teraz zobaczmy, jakiemi drogami gorzkiego doświadczenia szli oni, aby dojść do wniosku, iż państwo jest jedyną dźwignią, która może rozstrzygnąć kwestyę społeczną. Pouczającą w tym przedmiocie jest praca prof. Büchera *), którą przedstawimy tylko w głównych wynikach.

Wszystko, co można zrobić drogą prywatnej inicyatywy dla poprawienia losu klasy pracującej, w Belgii zrobiono; zdaniem Laveleye'a znajduje się ona pod tym względem na czele innych krajów. A jakież są marne wyniki tej pracy! Belgia jest krajem klasycznym samopomocy, konieczności „umoralnienia klas niższych“ i „filantropii klas wyższych“ dla przeciwdziałania skutkom „niedbalstwa robotników.“ jakiemi są nędza, zwyrodnienie itd. Najwyuzdańszy liberalizm indywidualny w połączeniu z socyalizmem chrześciańskim wytworzyły jakąś mieszaninę, do której nie przyznałby się ani Bastiat, ani Le Play, ale do której każdy z nich niewątpliwie się przyczynił. Samopomoc w połączeniu z filantropią przybrały w Belgii specyalny wyraz w tak zwanym *patronage*'u (opieki patronalnej). Głównym rzecznikiem tej „pomocy i wychowania klas niższych przez wyższe“ jest prof. Ch. Périn. Chce on, aby ulubiony przezeń system wywierał swój wpływ podług okoliczności w sposób najrozmaitszy: głównie przez kierowników przemysłu, gdzieniegdzie przez osoby prywatne i władze publiczne. Cała zaś działalność ma na celu usunięcie waśni klasowej między patronem i robotnikiem za pomocą kas oszczędności i emerytury, sądów rozjemczych, szerzenia oświaty, czystości, ochrony kobiet i dzieci itd. Połączenie samopomocy z pomocą wzajemną ma wyleczyć społeczeństwo obecne ze wszystkich jego ran. Państwu przypada tu rola najskromniejsza: ułatwienie bytu i hodowanie instytucyj w ten sposób powstałych. Jakież są skutki tego systemu, jak wyraził się jego wpływ — oto pytanie tem ważniejsze, iż mamy tu do czynienia nie z oddzielnymi kapitalistami, którym naraz strzeliła do głowy myśl założenia jakiejś kasy chorych, za co społeczeństwo czuje się w obowiązku postawienia im pomników za życia, lecz cały szeroko rozgałęziony system działalności społecznej. Komitety patronalne istnieją obecnie po wszystkich prowincyach Belgii i wpływem swym ogarniają wszystkie sfery życia robotniczego.

*) Karol Bücher, *Die belgische Sozialgesetzgebung* itd. (Archiv für soziale Gesetzgebung und Statistik, t. V, zeszyt 2 i 3).

Naprzód kasa ogólna emerytalna, która zdobyła sankcyę prawną w r. 1850, zobowiązała się zapewnić robotnikom rentę minimalną 24 fr., maximalną 720 fr. Rezultat jej był tak lichy, że przeszedł najbardziej pesymistyczne przewidywania, pomimo wszystkich, istotnie energicznych wysiłków *patronage*'u. Podczas pierwszych trzech lat składki wynosiły rocznie po 85,000 fr., poczem suma ta zaczęła spadać, doszedłszy w r. 1886 już tylko 8,413 fr.! Ponieważ to niepowodzenie „opieka patronalna“ przypisywała brakowi ducha oszczędności, więc założono w r. 1885 odpowiednią kasę, także ogólno-narodową, która w r. 1887 obejmowała znowu tylko 10% ludności!

Prawa o towarzystwach wzajemnej pomocy z lat 1852 i 1862 przeznaczają nagrody i pochwały przy zakładaniu—dla zachęty. Ale i to niewiele pomogło. W r. 1886 towarzystw tego rodzaju było 704, mających 100,000 członków i kapitału 4 miliony — dodajmy, iż członkowie ci rekrutują się po większej części z drobnej burżuazyi i że robotnicy przyjmują tu bardzo nieznaczny udział.

Do ważniejszych zasług *patronage*'u trzeba zaliczyć i prawo z r. 1887 przeciw pijaństwu. Grozi ono karą tym, których prowadzenie się było źródłem zgorszenia lub niebezpieczeństwa i wymaga od każdej osoby, zakładającej szynk, opłaty 60 do 200 fr. Chciano w ten sposób zmniejszyć spożycie alkoholu, które w r. 1887 wynosiło $8\frac{1}{2}$ litra na osobę i przedstawiało sumę 110 mil. fr. Prawo jednak nie poskutkowało. Cyfry te wzrastają wciąż, a obecnie przypada w Belgii jeden szynkarz na 40 mieszkańców. Taką jest wiązka głównych praw i instytucyj, zdobytych przez starania „opieki patronalnej“ — trzeba tu jeszcze dodać za-

---

4)

Andrzej Niemojewski.

MAJÓWKA.

XV.

Na żółtem wzgórzu śród drzew niewielu
 Z Wisłą swą wnuczką u boku
Płock siedzi niby starzec w fotelu
 I połatanym szlafroku.

Niby jarmułka katedry wieża
 Sędziwe nakrywa czoło,
Rój kawek niby rój much obieża
 Jarmułkę starca wokoło.

Słońce u schyłku dziennej swej drogi
 Blaskami razi go w oczy,
A wnuczka Wisła strudzone nogi
 Drżącemu dziadkowi moczy.

Strudził się dziaduś wieku pochodem,
 A nawet zdrzemał nad rzeką,
Podczas gdy wszystko, co było młodem,
 Uszło tymczasem daleko...

Witaj mi starcze! Lat zbiegło wiele,
 Gdy byłem tu raz ostatni,
Żyliśmy z sobą jak przyjaciele,
 Obu nam było dostatniej!

Dziś obu losy życiowym torem
 Jak szkapy żydowskie biegą,
Obu kieszenie są dzisiaj wzorem
 Dla próżni Toriczelego...

Ja tobie w doli, jak i niedoli,
 Mimo to wiernym zostałem.
Cokolwiek ciebie boli, mnie boli,
 Ty jesteś mym ideałem!

O tobie będę nucił z tęsknotą
 Najczulsze zwrotki śpiewacze,
Płoczczanki za to skroń mi oplotą,
 Niejedna jak bóbr się spłacze.

Śród idealnych myśli polotów
 Uderzę w ton Mickiewicza,
Pożyczę nawet niektórych zwrotów,
 Wszak dziś świat cały pożycza!

Najlichszy rymarz ma dziś do woli
 Kredytu artystycznego —
Sam Gawalewicz pieśń w „Barkaroli“
 Pożyczył od Jabłońskiego...

Będę, mój Płocku, śpiewał o tobie,
 Pod niebo sławił twe mury,
Twe seminaryum ogniskiem zrobię
 Zakwitającej kultury.

A gdy się temat urwie przypadkiem,
 Pozbieram myśli obłoczne
I jak Jankowski, sypiąc słów kwiatkiem,
 Wszyściutko wychwalać pocznę.

Mury twe, Płocku, człowiek ukwieci,
 Jak Goethe piersi swych Dorot,
Pękną z zazdrości „polscy“ poeci,
 Tetmajer, Lange i Or-Ot...

A gdy krytycy te hymny wieszcze
 Schlastają piórami swemi,
Gdy woń tych krytyk w dodatku jeszcze
 Zaleci do twojej ziemi —

To na poezyi spiwszy się stypie,
 Obaczysz, stary mój Płocku,
Niejeden krytyk tak się zasypie,
 Że zbraknie proszku w Otwocku!..

XVI.

Stanąłem właśnie na wzgórzu miasta
 I obróciłem w dół oczy,
Gdzie bufiec masztów z cieni wyrasta
 I rzeka z pluskiem się toczy.

Na tratwach ognie flisacze świecą
 Jak modre, błędne płomyki,
Słychać jak wpada bas ze skrzypicą
 W gardłowy głos harmoniki.

Ten obraz rzeki, noc tajemnicza,
 Flisacy, cisza w lazurze,
Na myśl przywiodły mi Klonowicza,
 Starszego druha po piórze.

Tym nurtem Wisły on ongi zdążał
 Stojąc przy rudlu nadziei,

kaz pracy dzieci, młodszych od lat 12. Wszystkie te środki i środeczki, bynajmniej nie dopiąwszy celu, doprowadziły jedynie do tego, iż ograniczają prawo robotnika wolnego w rozporządzaniu swym zarobkiem. Tam, gdzie istnieją kasy i instytucye patronalne, kapitalista może odciągnąć z tego zarobku koszty mieszkania, żywności, sprzętów i opału, których udziela. Jako typ odnośnych stosunków weźmy fabrykę Rey'a w Ruysbroecke. Oprócz mieszkań, które wynajmuje robotnikom, sprzedaje ona im jeszcze chleb, masło, mięso, tłuszcze, okrycia, kawę, mąkę, węgiel i t. d. Wszyscy zmuszeni są przyjmować udział w kasie zapomóg, która strąca im po 3% zarobku. W razie wystąpienia z fabryki tracą prawo nietylko do pomocy, ale i do tego, co włożyli. Kobiety ciężarne są wydalane, toż samo robotnik, który dwa razy schwytany został na pijanstwie. Takież samo stosunki panują i po innych fabrykach. Nigdzie robotnicy nie mają udziału w zarządzie i kierownictwie tych kas i towarzystw. Taką jest owa słynna „opieka patronalna.“ Ze wszystkich jej kazalnic rozchodzą się okrzyki wstrzemięźliwości, oszczędności itp. cnót, a tymczasem badania Lavollée'go okazały, iż trzecia część robotników belgijskich nie może istnieć z tego, co zarabia i zmuszona jest zwracać się o zapomogę publiczną. Wszelkie więc kasy wzajemnej pomocy, oszczędności itd. oparte są na podstawie przelewania z pustego w próżne i dziwić nas nie powinna ich nędzna wegetacya. A ponieważ z drugiej strony w niedostateczności odżywiania trzeba szukać głównej przyczyny, pobudzającej do alkoholizmu, więc prawa karne, do których się zwraca „opieka patronalna“ dla przeciwdziałania pijaństwu, nie zmieniając warunków jego istnienia, są jakąś dziką ironią.

Do zasług „patronage'u“ i wogóle prywatnej inicyatywy trzeba zaliczyć jeszcze t. zw. kampanię przeciw niezdrowym mieszkaniom robotniczym. „Zlituj się Boże!“ można zawołać przeglądając badania Büchera w tej kwestyi. Kilka „ankiet,“ które w bieżącem stuleciu urządzono, zawiera opisy iście rozdzierające. W każdem mieście odkryto istnienie drugiego miasta: z jednej strony zapasy powietrza, przestrzeni i zdrowia, z drugiej wszystko, co skraca i zatruwa życie, nagromadzenie domów i rodzin, ciemności, wilgoć, smród i zaraza. Wszystkie komisye, wystawiane zwykle z ręki *patronage*'u, które stanowi temu chciały zapobiedz, kierowały się po największej części względami zysku, a zresztą działność ich była pod tym względem nadzwyczaj ograniczona. Dla przykładu weźmy stosunki w Antwerpii; towarzystwa dobroczynne wybudowały tu 117 mieszkań robotniczych, które odnajmywały w r. 1869 po 3 fr. 50 cent. tygodniowo, co dawało 4½% dywidendy. Następnie komorne to wznoszono do 5 i 6 fr. tygodniowo! Toż samo zjawisko zauważyć można i w innych miastach. Jest to zresztą jeszcze jeden tylko z przejawów spekulacyi patronalnej, gdyż każdy robotnik opuszczając fabrykę musi zarazem opuścić domek, który wynajął, co utrzymuje go w niesłychanej zależności od fabrykanta. Nareszcie ostatnimi czasy wyszło rozporządzenie zabudowywania miast „strefami,“ co wbrew wszelkim oczekiwaniom wywołało taki skutek, iż zdaniem komisyi hygienicznej „zdrowotność wzrosła dzięki temu w środku dla bogatych i spadła natomiast na obwodzie dla ubogich.“ Zbawienne to rozporządzenie wywołane zostało wraz z wielką ankietą nad pracą przez wstrząśnienia z r. 1886. Było ono prawie jedynym przejawem obiecanych wówczas przez rząd reform społecznych; trzeba jeszcze dodać i rozmaite środki uczynienia robotników właścicielami zamieszkiwanych przez nich domków, środki projektowane przez prawo z 9 sierpnia 1889 r. i pozostające nadal, zdaniem Büchera, zupełnie w dziedzinie inicyatywy prywatnej, jakkolwiek ostatnie badania w zupełności wyświetliły ich niedostateczność.

Takie są skutki polityki *patronage'u* w Belgii. Nie mówimy, że trzeba nią w zupełności pogardzać. Wszelki przejaw dobrej woli jest cenny. Ale mamy tu najlepszy dowód, iż nigdzie tą drogą wielkich rezultatów osiągnąć nie można.

Eipon.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po długich naradach i zaczepianiu rozmaitych amatorów teki ministeryalnej, skleił nareszcie Carnot nowy gabinet pod przewodnictwem senatora Loubeta, który objął sprawy wewnętrzne, powierzywszy Ricardowi sprawiedliwość, Cavaignacowi marynarkę, Viettowi roboty publiczne; inni pozostali na swych stanowiskach. Ten nowy twór nie łudzi się nadzieją długiego życia, które, zanim jeszcze wystąpił na widownię, obiecano mu skrócić. Naprzód za to, że ma on jakoby zbyt wyrażać osobistą politykę prezydenta Rzeczypospolitej, któremu wymówiono, że za długo ociągał się z wyborem ministrów, chcąc koniecznie wynaleźć sobie powolnych. Jest to zarzut albo obłudny, albo głupkowaty. Carnot bowiem jest ideałem bezstronnej głowy państwa i unika najstaranniej wszelkiego osobistego wpływu na rządy kraju; trzeba zaś zapomnieć zupełnie o doświadczeniach przeszłości i zamknąć oczy na teraźniejszość, ażeby twierdzić, że dziś można we Francyi zebrać gabinet w ciągu 24 godzin. Dalej podniesiono wrzawę o usuniętego Contansa, który pokonał bulanżyzm i ujął wodze policyi mocną ręką, a którego uważają za ofiarę złożoną radykalizmowi. Loubet oświadczył jednemu z reporterów, że pójdzie drogą swych poprzedników i będzie się starał żyć w zgodzie z kościołem na podstawie konkordatu, co wielce nie podobało się skrajnej lewicy. Jak przewidywaliśmy tedy, nowe ministeryum nie zadowoli nikogo i stanie odrazu między wieloma, a co najmniej między dwoma ogniami. Z jednej strony Clemenceau, z drugiej Cassagnac już te ognie rozniecają.

Przez kilka dni można było mniemać, że w Berlinie wydobył się wulkan, który rozleje swą lawę bardzo szeroko. Na ulicach, placach, przed zamkiem cesarskim powtórzyły się kilkakroć liczne zbiegowiska, które musiano rozpędzać siłą zbrojną, a w których tłum żądał chleba i pracy. Z początku sądzono, że jest to wzburzenie mas głodnych, wkrótce jednak przekonano się, że główny udział w rozruchach przyjęły te męty społeczne, które gromadzą się w każdem wielkiem mieście, a które nie tyle potrzebują pracy, ile sposobności do grabieży. Zrabowały też szereg sklepów i składów, zanim policya nie zatamowała łupieżczej hulanki.

Pruski minister spraw wewnętrznych zezwolił na sprowadzenie żonatych robotników polskich z zagranicy, gdyż okazał się wielki brak sił najemniczych w gospodarstwach. Pozwolenie to ma być odnawiane corocznie, o ile okaże się potrzebnem.

Przy rozprawach w sejmie pruskim nad komisyą kolonizacyjną posłowie poznańscy uderzali na jej cele, których bronił minister, twierdząc, że nie dąży ona do usunięcia polaków, ale do wzmocnienia żywiołu

---

Z pieśnią na ustach Płock ów okrążał,
Gdzie ja się błąkam z kolei...

Trupie-kolego! Obaj lwie skóry
Garbować mieliśmy chęci,
Ciebie już objął cmentarz natury,
Me pióro bój jeszcze święci!

Dzielnie wzlatałeś w duszy twej rano
Lotami ikarowymi,
Gdy ci brutalnie skrzydła złamano,
Wlec je musiałeś po ziemi...

Gdzie niezniszczone dotąd zamiary?
Gdzie kości twoje się plamią?
Ach, wiecznie nam się rodzą Ikary
I wiecznie skrzydła im łamią!

Biedny Acernie! Kraj nasz wierzbiną,
Każdy wieszcz na niej jak gruszka —
Eh, chłód powiewa, z dołu mgły płyną,
Idźmy gdzie poszukać łóżka...

XVII.

Ledwie te słowa wyrzec zdołałem,
Kiedy w krzewiastej uboczy
Nikłą człowieka postać ujrzałem,
Zdumiony przetarłem oczy,

Człowieczek dreptał w zdartej sutannie,
Poprawiał biret stłuszczony,
Na obie strony pluł nieustannie
I charchał, jak na deszcz wrony.

Dziwnie czyszczowo szarzała w cieniu
Cała ta postać misterna,
Aż rzekła, klepiąc mnie po ramieniu:
„Cóż, nie poznajesz Acerna?“

Przepraszam, rzekłem, czy pan tą znaną
Postacią z literatury,
Za którą w szkole mnie wpakowano
Raz na sześć godzin do dziury?

Jeżeli tak jest, cieszę się mocno,
Chociaż uprzedzić chcę z góry,
Żem wierzyć w marę zaprzestał nocną,
A zwłaszcza z literatury!

Na taki dogmat pozytywizmu
Syknął człowieczek niechętnie,
Jakby go ukłuł komar sofizmu,
Żachnął się i rzekł namiętnie,

Wsparłszy się przytem ręką o płotek,
By atak rozpocząć męzki
Jak ulubieniec wszystkich dewotek
Ksiądz jezuita Załęski:

„Trzeba ci wiedzieć, mój synu drogi,
Że nie masz na jotę racyi!
Czy spałeś w szkole na psychologii
I nie znasz halucynacyi?!?

Zatem potwierdza świecka nauka
Nadprzyrodzone zjawiska!..
Z nieba po nocy Acern cię szuka
A droga to nie tak blizka.

Ale westchnienia twoje słyszałem,
Żeś się w przeszłości zagłębił,
Znać materyalizm duchem i ciałem
Nie całkiem ciebie wyziębił.

Tak, tak, jam Acern, obcujesz ze mną
I widzisz mojego ducha!
Z oczu ci zdejmę zasłonę ciemną
I watę wyjmę ci z ucha,

Ażebyś widział i słyszał lepiej
I z białem rozdzielił czarne —
Niech cię obecność moja pokrzepi,
Do piersi ciebie przygarnę...

Pamiętasz, jak ów idealista
Klemens Janicki nam śpiewał?
Tak niechaj twoja pieśń będzie czysta,
Harmonię będziesz rozlewał.

Odrzuć nienawiść i gorycz nizką
Jak plewy z myśli spichlerza,
Bądź wieszczem serca!.. Klęknij tu blizko,
Pasuję cię na rycerza...

Rycerzu pieśni! Grzmij bukoliki
I wojuj za ideały —
A strzeż się Zoli i jego kliki,
Wstrętny kierunek ten cały!

Na co wywlekać brudy życiowe?
Maluj ty ludzi aniołów,
Zanim do trumny pochylisz głowę
I będziesz garścią popiołów!..“

germańskiego. To znaczy według przysłowia: nie kijem go, tylko pałką.

W Grecyi wybuchnął osobliwego rodzaju zatarg — między królem a jego ministrami. Król, uznając, że przedsiewzięcia rządu naraziłyby kraj finansowo, zażądał od Delyanisa, ażeby ten wraz z całym gabinetem podał się do dymisyi. Delyanis jednak, uzyskawszy votum zaufania od większości Izby, oparł się temu rozkazowi i dopiero uległ mu po wzmocnionym nacisku. Nowy gabinet utworzony został pod przewodnictwem Konstantopulosa a Izba ma być rozwiązana.

Nieznany i nieujęty dotychczas zbrodniarz zasztyletował na ulicy pełnomocnika bułgarskiego Wulkowicza. Sułtan wyznaczył 5,000 fr. nagrody za schwytanie mordercy, zaaresztowano kilku podejrzanych bułgarów w Konstantynopolu, ale dotąd nie wiadomo, czy między nimi jest poszukiwany winowajca. Wulkowicz był wiernym wykonawcą zamiarów Stambułowa.

Ponieważ arcybiskup wiedeński zabronił kazań w języku czeskim, więc niektórzy czesi, zamieszkali w Wiedniu, postanowili przyjąć prawosławie.

Młodoczesi przygotowują prośbę do cesarza o koronowanie się w Pradze na króla.

BADANIA NAUKOWE.

STARA POTRAWA Z NOWYM SOSEM.

Herzen. *Zarys psycho-fizyologii ogólnej.* Przełożył A. Zassowski. Warsz. 1892.

Od kilku lat nasza literatura książek tłomaczonych znajduje się w rozpaczliwie chaotycznym stanie. Ludzie, kierujący wydawnictwami przekładów, nietylko nie mają po większej części żadnej idei przewodniej co do wyboru dzieł istotnie pożytecznych dla naszej publiczności *), nietylko nie rachują się z zapotrzebowaniem tej publiczności (co już jest rzeczą odmienną, ale ważną ze względu na powodzenie wydawnictwa) lecz wprost nie są dostatecznie obeznani z odpowiednimi działami piśmiennictwa zagranicznego, tak iż obrawszy sobie jakiś przedmiot, trafiają często na najgorszą, a przynajmniej nie najlepszą o nim książkę. Przytoczę kilka przykładów.

Niewątpliwie, że w literaturze naszej brak książki, która by w sposób przystępny i nie zbyt obszernie dawała pogląd syntetyczny na całość dziejów ludzkości; nie mniej jest pewnem, że ogół odczuwa potrzebę jej. Cóż mu dają wydawcy nasi? Jakieś *pot-pouri* archeologiczno-antropologiczno-historyczne w rodzaju *Historyi cywilizacyi* Seignobosa.

Po przesyceniu się popularyzacyami przyrodniczemi i pseudo-przyrodniczemi, wymagamy głębszego traktowania zagadnień bytu. Z jednej strony budzi się ciekawość ku kwestyom filozoficznym, z drugiej, zamiast gawędy na tematy przyrodnicze, pragnienie przystępnych podręczników, z których by można było czegoś nauczyć się w zakresie przyrodoznawstwa. A cóż daje w odpowiedzi na te żądania nasza spekulacya wydawnicza? Albo kramik encyklopedyczny umiejętności filozoficznych, jak *Zasady filozofii* Boirac'a — książkę, która, może być nawet niezłą jako kompendyum dla gotujących się do egzaminu na bakałarza (co też stanowi istotne jej przeznaczenie w oryginale), ale wcale nie odpowiada wymaganiom kształcącego się samodzielnie czytelnika; albo ofiarują nam *Zagadnienia życia i ducha* Lewesa, pracę już przestarzałą, która, jeśli miała kiedyś wartość, to tylko dla tych, co, jak sam autor, po chwilowem zaprzeczeniu wszelkiej filozofii uczuli potrzebę cofnięcia się wstecz i poruszenia na nowo szeregu zagadnień, podejmowanych już od wieków przez wszystkich filozofów całego świata. Że po kilkunastoletnim bałamuceniu pseudo-naukowemi popularyzacyami z dziedziny przyrodoznawstwa czytelnik nasz potrzebuje odświeżającego tchnienia filozofii wiedzy przyrodniczej, o tem ani się śni wydawcom; jakkolwiek poważne dzieła w tym przedmiocie ukazują się od czasu do czasu w literaturze zagranicznej.

Jedną z takich nieprawnie wybranych prac jest psycho-fizyologia Herzena. Książki w przedmiotach naukowych mogą wogóle mieć dwojakie znaczenie: albo poruszają pewne kwestye, zwracają myśl w pewnym kierunku i pobudzają do studyów; albo dają pewne pozytywne wiadomości z zakresu odpowiedniej umiejętności. Dziełko Herzena należy do książek pierwszej kategoryi. Nie można z niego nabyć żadnych wiadomości z zakresu psycho-fizyologii *), może ono jednak przyczynić się do tego, że czytający postawi sobie szereg zagadnień lub będzie je z innego stanowiska traktował. Otóż w tym przedmiocie mamy już przekład dzieła Baine'a (*Umysł i ciało*), które z wielu względów lepiej odpowiada celowi. Czego nam brak istotnie — to podręcznika, z którego by czytelnik mógł się dowiedzieć o tem, co już zostało zdobyte w zakresie psychologii fizyologicznej. Jeśli doskonały podręcznik Wundta wydawał się zbyt obszernym dla naszych wymagań, to można było wybrać jaki treściwszy **).

Nie będę tu poruszał pytania, czy jest możliwa psycho-fizyologia ogólna w obecnym stanie wiedzy i co powinno by wchodzić w jej zakres, tem bardziej, że autor nic a nic o tem nie mówi, a nawet nie daje określenia tej gałęzi wiedzy. Zaznaczę natomiast, że tytuł książki nie odpowiada treści; główną bowiem część jej stanowi

*) Niech mi nie mówią, że uwzględnienie istotnej potrzeby jest niemożliwe, dopóki ona nie zostanie odczutą, że wydawca nie może ryzykować funduszów dla bezinteresownego drukowania dzieł, na rozprzedanie których nie liczy. Książka stwarza czytelnika; ale żeby mogła go stworzyć, musi odpowiadać rzeczywistym wymaganiom. Żeby zaś zrozumieć potrzebę, należy mieć trochę więcej światła, niż posiada przeciętny wydawca. Nasi księgarze starają się węchem odgadnąć nie potrzebę, lecz zapotrzebowanie publiczności; ale ta właśnie publiczność, która najwięcej czyta, najczęściej nie umie sama jasno określić swych żądań: czuje ona braki w wykształceniu swojem, ale nie wie, czem je zapełnić. Stąd próbowanie, macanie, rzucanie się w jedną lub drugą stronę. Księgarz, jeśli uważa się za sprytnego, łowi w lot te niewyraźne popędy... i najczęściej chybia celu. Dalejże narzekać na brak czytelników, dalej zniżać poziom wydawnictw. Jesteśmy w niebezpieczeństwie, że literatura nasza tłomaczona zredukuje się do rozmaitych hygien miodowych miesięcy, książek o spirytyzmie i senników egipskich. Znajdują się filozofowie, którzy usprawiedliwiają istniejący stan rzeczy tem, że przeważnie czytają u nas kobiety, które nie są przygotowane do książek poważniejszych. Tymczasem ci, którzy pragną wykształcenia, zmuszeni są udawać się do literatury obcej przekładowej, zniechęcając się do ojczystej. Mam tu na myśli nietylko młodzież kształcącą się w szkołach średnich i wyższych, ale i tych, którzy, po ukończeniu studyów fachowych, czują potrzebę uzupełnienia wiedzy.

*) Chociaż autor przytacza pewną ilość doświadczeń, traktuje je jednak epizodycznie, jako dowody na korzyść swoich rozumowań.

**) W zeszłym roku np. wyszło Zieten'a: *Leitfaden der physiologischen Psychologie in 14 Vorlesungen.* Jena str. V. + 176.

Na to mnie szewcka pasya porwała —
  Gdy nagle jakaś mgła szklanna
Przejrzystym dymkiem jego owiała,
  Już ćmi się tylko sutanna.

Już tylko biret pływa po wierzchu
  Jak mysz, gęstnieją zasłony
I niknie reszta Acorna w zmierzchu
  Z przed mojej duszy zdumionej.

I rzekła moja dusza w zdumieniu:
  Zaprawdę, dziś nocne zmory
Mówią jak żywi, w uzupełnieniu
  Żywi znów tak, jak upiory.

XVIII.

Kiedy w dzień siódmy spoczął Jehowa
  Po wiekopomnem krzątaniu,
Mniej mu z pewnością ciążyła głowa
  I mniej on myślał o spaniu,

Mniej go paliły boskie nagniotki
  I w włosach mniej miał kurzawy,
Niż biedny autor niniejszej zwrotki
  Po krótkiej drodze z Warszawy.

Ktokolwiek zajdziesz o głodzie, chłodzie
  Pomiędzy płockie zaułki,
To o najtańszej pomnij gospodzie
  Pod firmą Fajgla i Spółki.

Tam w ciemnej sieni płonie ogarek
  Przez całą noc aż do świtu;
Jest to interes tak jak zegarek,
  Bóg go powołał do bytu.

To jest Bóg Fajgla tylko powołał,
  Reszty już Fajgel się dobił,
Spółkę z miszpuką utworzyć zdołał
  I zwolna majątek zrobił.

A kiedy Fajgla Bóg powoływał
  Użył pomocy Fajglowej,
W której naonczas się podkochiwał
  Sam kantor i rewirowy.

Który z nich wreszcie stał się narzędziem
  Opatrznościowych wyroków,
Tego roztrząsać dziś już nie będziem —
  Dla Fajglów pamiętny rok ów.

Nie żyje kantor, zmarł rewirowy,
  Lecz Spółka dzielnie się chowa
A nawet w starej bindzie perłowej
  Skulona babka Fajglowa.

W bezdennem łożu z pończochą swoją
  Przez cały dzień siedzi w kuczki
A koło niej się na betach roją
  Wnuczęta, wnuczki, prawnuczki.

Tymczasem Szmilko staje przed wrota
  I wabi gości rad nierad,
Sama najlichsza staje hołota
  A czasem jaki literat.

Szmilko z latarką krzątał się wszędzie,
  Latał do żony Esterki.
„Wielmożny panie — rzekł—co to będzie?
  Zajęto wszystkie numerki!“

Wtem wpadł na pomysł setny ów Szmilko:
  „Wszystko — rzekł—pójdzie jak z płatka
I pan stancyjkę dostanie... tylko
  Zajmuje ją stara matka.

Nu, babke, kinder ind ty Estera
  Jednem podzielcie się łożem,
Pan niech się w izbie starej rozbiera,
  My żydki spać dziś nie możem.

Dziś pełnia, dzisiaj u żydków święto,
  Dziś święcim pełnię majową,
Chociaż numerki wszystkie zajęto,
  Bihme, pan wyśpi się zdrowo!“

Więc się znalazłem w izdebce małej
  Przed sławnem łożem Fajglowej,
Skąd pokolenia w świat się sypały
  I pchły jak podolskie krowy...

„Tłumy przez wieki bez dachu mokną,“
  Myślałem, kładąc się w łóżko.
Księżyc z współczuciem zajrzał przez okno
  Lśniąc nad pstrokatą poduszką.

(D. c. n.)

roztrząsanie odwiecznej kwestyi metafizycznej — stosunku ducha do ciała. Podejmowanie takich zagadnień uważamy nietylko za zbyteczne, ale wprost za niewłaściwe dla psycho-fizologa. Każda umiejętność doświadczalna — a do takich należy psychologia fizyologiczna — musi się opierać jedynie na danych doświadczenia i jest zupełnie niezależna od odpowiedzi, jaką damy na związane z jej przedmiotem zagadnienia metafizyczne. Jakiekolwiek będą nasze poglądy na stosunek podmiotu do przedmiotu (duszy do ciała—mówiąc mniej poprawnie ale zrozumialej) wywody naukowe psychologii fizyologicznej będą zawsze te same. Poświęcając takiemu rozwiązaniu część książki, autor daje czytelnikowi do myślenia, że od tego zawisły wyniki umiejętności i to tembardziej, iż nigdzie nie spotykamy zastrzeżenia, które by ten błąd sprostować mogło.

Przerzucając się na grunt metafizyki, autor opuścił dziedzinę, którą zapewne zna dobrze, aby decydować o kwestyach, do których okazał się wcale nieprzygotowany. Stąd rozumowania jego są pełne niedokładnych wyrażeń i sprzeczności. Wytkniemy tu ważniejsze.

H. zaczyna swą książkę od następującego twierdzenia: „Rozliczne sposoby pojmowania świata dadzą się wogóle sprowadzić do dwóch zasadniczych systemów, znanych jako monizm i dualizm.“ Naprzód można to powiedzieć nie o sposobach pojmowania świata wogóle, lecz tylko o zapatrywaniach na stosunek ducha do ciała (podmiotu do przedmiotu). Powtóre sprawdzenie takie jest w wysokim stopniu powierzchowne. Wyraz monizm jest utworem nowoczesnym; należy on do terminologii materyalistów z drugiej połowy bieżącego stulecia i nie obejmuje żadnego ściśle określonego pojęcia. Powstał wprost przez przeciwstawienie etymologiczne z dualizmem. Gdy zaś weźmiemy go w tem etymologicznem znaczeniu, to już pobieżny rzut oka na dzieje filozofii przekona nas, że nazwa ta nie ma racyi bytu. Istotnie jeśli monizm ma oznaczać wszystkie poglądy na stosunek ducha do ciała, które sprowadzają je do jednej substancyi, to jaka racya obejmować w jednem pojęciu tak sprzeczne z sobą teoryo metafizyczne, jak materyalizm i to, co pozwolimy sobie nazwać idealizmem substancyalnym (monadologia Leibnitza)? Gdzie umieścimy dalej idealizm czysty, nie orzekający nic zgoła o substancyalności ducha, krytycyzm lub hilozoizm? Tymczasem autor wychodzi z tego twierdzenia i operuje tak, jak gdyby mu szło tylko o rozstrzygnięcie sporu pomiędzy tymi dwoma przeciwnikami (z których przytem jeden okazuje się fikcyjnym).

Dalej na str. 7 nazywa faktem zasadniczym psychologii twierdzenie, „że nie ma czynności psychologicznej bez odpowiedniego ruchu molekularnego elementów nerwowych.“ Twierdzenie to jest tylko przypuszczeniem, opartem na analogii a chociaż wydaje nam się koniecznem ze stanowiska pewnych doktryn metafizycznych, nie jest i prawdopodobnie długo nie będzie faktem dowiedzionym. Wiemy, że niektórym objawom psychicznym towarzyszą ruchy molekularne w nerwach, ale wiemy również, że większa część ruchów molekularnych nerwowych obywa się bez żadnych aktów psychicznych. Nie mamy też podstawy do twierdzenia, że nie może dziać się odwrotnie (tj. akt psychiczny bez ruchu molekularnego). A jakkolwiek dziwnie brzmią podobne sądy wobec dzisiejszej teoryi poznania, zadaniem nauki jest zawsze ściśle odróżnianie faktów od przypuszczeń.

Na str. 16 i 17 znajdujemy określenia materyi i siły, na które by się wzdrygnął nie jeden fizyk. Na str. 20, znowu w duchu tych określeń, dualizm nazwany jest wyrazem poglądu zasadniczo odróżniającego materyę od siły. W takim razie wszyscy fizycy byli by dualistami, a tylko hilozoizmowi chyba przypadłaby przez przeciwstawność nazwa monizmu.

Nie będziemy wyliczać innych usterek, ani też zastanawiać się nad rozdziałami pod tytułem „świadomość“ i „samowiedza,“ stanowiącemi drugą połowę książki, w których autor kręci się pomiędzy poglądami Lewesa i Maudsleya. Zwrócimy tylko uwagę na kilka niedokładności w przekładzie, który zresztą wogóle jest nie zły.

Na str. 89-ej, mówiąc o jedności ducha i materyi, autor powiada: „Most zapada się a z nim ma runąć jedność.“ Tłomacz zamiast „jedność“ postawił „jednostka,“ przez co zdanie straciło sens. Zdaje mi się także, że utartym wyrazem fizyologicznym jest „ruch dowolny,“ nie zaś dobrowolny; również w psychologii — kojarzenie wyobrażeń nie zaś idej (wyraz idea w znaczeniu wyobrażenia używają tylko anglicy). Lepiej i zrozumialej byłoby powiedzieć po polsku zużycie i odnowienie nerwów zamiast dezintegracya i reintegracya.

Wł. M. Kozłowski.

Z DZIEDZINY MITOLOGII PORÓWNAWCZEJ.

Ruggero Bonghi, znakomity mąż stanu i uczony włoski, wydał świeżo piękną i zajmującą pracę o zwyczajach i uroczystościach dawnych rzymian, wyświetlającą życie umysłowe i uczuciowe minionych pokoleń ze stanowiska mitologii porównawczej. Dzieło to pojawiło się równocześnie niemal w tłomaczeniu niemieckiem Alfreda Ruhemanna, nakładem Hartlebena w przepysznem, ilustrowanem wydaniu*). Książka Bonghiego jest prawdziwą skarbnicą dla archeologa, historyka i artysty; lecz najcenniejszy plon zbierze z niej psycholog, studyujący duszę człowieczeństwa w rozmaitych fazach jej rozwoju.

Oto jak sam autor charakteryzuje i wyświetla znaczenie swych badań. Odkąd wiara chrześciańska tak gruntownie przekształciła pojęcia przyrody i bóstwa w duchu ludzkim, z coraz większem zdziwieniem zapytywano: czemu ludzie dawniej byli zupełnie inni? Dawne wierzenia z dnia na dzień wydawały się bezpodstawniejszemi, przymus wewnętrzny do zarzucenia ich stawał się coraz potężniejszym; wreszcie powstało mniemanie, że kult dawnych bogów nadaje się chyba do dzieł uczonych o starożytnościach lub do zbiorów bajek dla dzieci. Przez długie stulecia powtarzano legendy te w przekonaniu, że nie ukrywa się w nich żaden sens głębszy.

Nastał wreszcie czas, w którym te pomniki umysłowości dawnych pokoleń zaczęto traktować z większym szacunkiem. Filologia porównawcza odkryła stosunki języków i na podstawie źródłosłowów i form gramatycznych odbudowała historyę rodzinną ludów. Już ta umiejętność przyczyniła się wielce do poznania ich umysłu, odkrywając związki pomiędzy nazwami a przedmiotami świata zewnętrznego, które wywierały wrażenie na duszę człowieka pierwotnego. Dalej psychologia ludów zajęła się zbadaniem naturalnego rozwoju uczuć i ich wyrażenia się w zwyczajach, wierzeniach i ceremoniach. Człowiek dzisiejszy wyobrazić sobie może dziedzinę umysłową i moralną swych odległych przodków w ich stanie barbarzyńskim, a następnie na różnych stopniach cywilizacyi; rozumie on dawne pokolenia lepiej, aniželi one same rozumieć się mogły, pojmuje bowiem duszę ich w historycznym jej rozwoju. Filologia porównawcza zaś i psychologia ludów są umiejętnościami pomocniczemi dla mitologii porównawczej, której zadaniem jest zbadanie dawnych religij jako głównych źródeł sumienia ludów, jako podstaw ukształtowania się ich państwowego i społecznego.

Zakreśliwszy tak szeroko granice tej umiejętności, Bonghi przystępuje do rozwiązania pierwszej kwestyi: w jakim momencie psychologicznym, w jakiej chwili rozwojowej ducha ludzkiego powstać mogły rzymskie pojęcia religijne? Umysłowość rzymian w okresie historycznej ich dojrzałości i w czasach upadku nie tłomaczy nam faktu; Bonghi uwzględnia bowiem objaw powtarzający się w historyi, że myśl religijna utrzymać się może niezmieniona przez długie stulecia, chociaż ludzie, instytucye i zakres wiedzy radykalnie się zmienią. Przyczyna tego zjawiska jest znana. Aby zapuścić głębsze korzenie i rozkrzewić się, myśl religijna wytwarza trwałe formy, ceremonie i organizacyę kapłańską. Te formy i organizacye, raz stworzone, zwolna jeno się rozpadają; póki im sił starczy, bronią podstawy, na której się opiera ich byt. W procesie utrwalania się ich kostnieją uczucia, z których kult wyrósł. W społeczeństwie rzymskiem kult odpowiada znacznie niższemu poziomowi umysłowemu i moralnemu, aniżeli ono w swym rozwoju dziejowym osiągnęło. Że zaś kult ten z całą galeryą bogów przetrwać mógł mimo postępów umysłowości, tłomaczy się i tą właściwością religii rzymskiej, że nie wymagała, aby modlono się bezpośrednio do przedmiotu świętego — po zanim istniało pojęcie, do którego zwracał się umysł wykształcony. Nazwa każdego z bogów oznaczała abstrakcyę pewnych rzeczy lub czynów ludzkich. Z czasem doszli rzymianie do szczegółowości nieco dokuczliwej. Drzwi np. poświęcone były pięciu bogom: otwarta przestrzeń należała do Janusa lub do Jany czyli Arquis; skrzydła były w opiece Forculusa, nad osią czuwała Cardea, nad progiem Limentyn lub Limentyna. Lecz w głównych swych rysach religia ta opierała się na myślach głębszych, na trafnych obserwacyach, na uczuciu poetyckiem. Bogowie rzymscy w ścisłym pozostawali związku z przyrodą. Długi szereg świąt, odnoszących się do uprawy roli, dowodzi, że główną pobudką do wytworzenia się uczuć religijnych były stany ziemi uprawnej, następujące po sobie kolejno w ciągu roku. Mimo niezliczonych postaci, jakie zrodziła zczasem religia rzymska, przeziera z niej wszędzie i zawsze uczucie, że natura jedynie jest źródłem wielkiego życia.

Wiara chrześciańska starła z natury cechy bóstwa. Zaczęto uważać ją jako całość pod władzą niezmiennych praw, którą jedna wola może unicestwić. Modlitwa nie zwracała się już ani do przyrody, ani do sił nią kierujących. Jednak legendy i zwyczaje, które niegdyś łączyły się ze zjawiskami i przemianami natury, nie znikły całkowicie z tradycyi ludów, a Bonghi dowodzi, że niejeden ze zwyczajów, obserwowanych podczas starożytnych świąt, znajduje się dziś jeszcze u ludu włoskiego, jako nieświadomy ślad dawno zaginionych wyobrażeń religijnych.

N.

*) *Römische Feste*, A. Hartleben, Wiedeń, Peszt, Lipsk.

LITERATURA I SZTUKA.

STRONICA PSYCHOLOGII WSPÓŁCZESNEJ.

Dekadenci nie daremnie, zdaniem naszem, powołują się na ojcowstwo duchowe Stendhala. Jest to zresztą pokrewieństwo tylko częściowe. „Beylizm,“ jako panowanie umysłu i woli nad bezpośredniem uczuciem, „refleksyi“ nad „instynktem“ wyraził się w sztuczności ich poezyi. Ale beylizm ma jeszcze drugą stronę, żądzę wcielenia tej energii i tej refleksyi w życie realne i to w sposób określony. Faguet przypusz-

cza *), że gdyby Stendhal pozwolił Sorelowi dłużej żyć, ten niewątpliwie zstąpiłby „au bas-fond“ (do motłochu), aby tam odegrać odpowiednią rolę. Byłoby to zarazem odwetem za całe życie paskudnej hypokryzyi i karyerowiczowstwa, które Sorelowi nadzwyczaj ciążyły. Takiej żądzy czynu, działalności zwróconej ku dobru obszerniejszych mas, nie znajdujemy już ani śladu u dekadentów. U nich panowanie „refleksyi“ nad instynktem, niekierowane żadnym ideałem przyszłości, musiało wywołać tylko dowolność wybryków i niesłychaną prostytucyę duchową. Za przykład niechaj nam posłużą dwaj pisarze francuscy: Baudelaire i Verlaine.

Przejście od Stendhala do Baudelaire'a jest naturalne, choć może niepostrzeżone. Znajdujemy tu właśnie uczuciowość nie bezpośrednią, ale taką, która wyszła z retorty umysłu i woli. To rozum pracuje całym szeregiem sztuk i forteli, aby wywołać żądane wrażenie: najpotężniejszem narzędziem w tym celu są umyślne sprzeczności. A więc opis najwstrętniejszych szczegółów życia realnego wiąże się z wyrazem pojęć i wierzeń, przekraczających świat zmysłowy, najgłębszy sensualizm z ascetyzmem najbardziej chrześciańskim. Jest mistykiem i zarazem libertynem. W objęciu dziewcząt, których usta się krwawią na maskach gipsowych, śni o czystych Madonnach. Ponura rozpusta Wenery pospolitej i wyrafinowanie — uczonej pozostawiły ślad na jego dziele obok najbardziej romantycznych polotów. Kobieta jest dlań bydlęciem i boginią zarazem, zwierzem apokaliptycznym, a w chwili gdy chce wyrazić namiętność najgorętszą, sięga po formę najbardziej sztuczną i zimną. Tak samo rafinuje swe czucia wysiłkiem uwagi i woli we wszystkich innych dziedzinach. Tryska zeń struga *spleenu* najzjadliwszego i najrozpaczliwszego, jaki w poezyi znaleźć można, obok ekstazy życia, mającej charakter fanatyzmu i zarazem dziecięcej naiwności. W poezyach Baudelaire'a odnaleźć można niesłychane zepsucie i zastanawiające upadki, a obok tego uczucia chrześciańsko-religijne. Jedno z drugiem może wogóle bardzo dobrze się zgadzać, gdyż Baudelaire jest poetą nie występku, lecz grzechu. Złorzeczenie jest zwykle odwróconym tylko hymnem. Ale autor nie znajdował się w tym wypadku. Uczucia religijnego używał świadomie, jako sztuczki psychologicznej. Do nadzmysłowości sięgał dlatego, iż ona wzmacnia wrażenia i przedłuża w nas ich echo. To też odczuwa tajemnicę poza wszystkiem, udaje wiarę w dyabła, sympatyzuje z tym „wielkim zwyciężonym“ i z tą „ofiarą.“ Swą bezbożność wyraża w języku najbardziej namaszczonym i z uśmiechem spogląda na oburzenie prostaków. Jako efektów artystycznych używał i bardziej szanownych uczuć: litości i współczucia, nadając im jednak zawsze odcień religijny. Jest przeniknięty pojęciem nieczystości ciała i grzechu pierworodnego. Dziewczyna, spotkana gdzieś w zaułku nocą, ma dlań z tego punktu widzenia wielkość tragiczną: całe niebo płacze, spoglądając na nią, a najplugawsze czułości rozbrzmiewać będą przez wieki wieków. Jest to zresztą chrześcianin nadzwyczaj kompromitujący: kocha grzech, właśnie dlatego, iż wzbudza w nim ten święty przestrach i z zadowoleniem nurza się w rozkoszach upadku. Bezbożnością chciałby wywołać łzy w oczach aniołów, aby mu nadać odpowiednią wielkość. Nawet w małych swych grzeszkach chciał zainteresować niebo i piekło. Afektacya chrześciaństwa wywołuje u niego także ciągłe łączenie miłości i śmierci, tylko że obrazy rozkładu i zepsucia cielesnego są dlań wraz z wonią trupów przyprawą miłosną. Ostatecznym celem, do którego dążył, było pogodzenie dwóch szeregów sprzecznych wzruszeń i niejednanych poglądów na świat i życie. Przeklina postęp za jego suchy racyonalizm i uwielbia go zarazem za nowe pokarmy nienasyconej uczuciowości. Ale ta pogarda banalności, poszukiwanie wrażeń rzadkich i złożonych czyni go często wstrętnym, jeszcze częściej śmiesznym. Jego pozowanie przypomina często grymasy starego pawiana. „Czyś pan jadł kiedy móżdżek małych dzieci? — zapytywał poważnego ojca rodziny; sprobój pan jest to bardzo dobre, ma smak młodych orzechów.“ Zresztą, człowiek ten skierowywał całą swą dumę na to, aby być ohydnym. Jego „szatańswo,“ dandyzm, upodobanie w goryczach niepopularności — wszystko to przedstawia ciekawy wypadek psychologiczny. W gruncie tego charakteru moglibyśmy odnaleźć olbrzymią dumę, zawiedzioną przez wszechstronne bankructwo życiowe, z drugiej strony chęć wyodrębnienia się, której towarzyszy często rozpaczliwa bezpłodność: ze wszystkich jego utworów przyszłość zachowa z tuzin poematików, stanowiących „arcydzieło woli, ostatnie słowo pod względem wynalazczości w dziedzinie uczuć“ *), reszta zginie w morzu zapomnienia. Z drugiej strony mamy tu głęboki, analityczny umysł, który drogą refleksyi rozłożył wszystkie instynkty, ale niestety, nie stworzył sobie żadnego oryginalnego na świat poglądu, związanego z jakąś praktyczną historyczną działalnością. Przy takich warunkach Baudelaire musiał szukać ucieczki od męczarni myśli w pijaństwie, rozpuście i newrozie, którą systematycznie hodował w sobie drogą samogwałtu. Jego zadyszana, bolesna bezpłodność, która drogą wielu kołowań czyni go często banalnym, wobec olbrzymich, nieograniczonych pretensyi często go ośmiesza — pod tym względem szczególną krzywdę wyrządzili mu uczniowie i naśladowcy, wydymając, jak zwykle, wszystkie jego braki. Ale z drugiej strony czujemy go chorym, cierpiącym, nieszczęśliwym i budzi w nas sympatyę, której zresztą on by pierwszy się wyrzekł, gdyż poznał bardzo dobrze wszystkie ironie litości i wszystkie egoizmy współczucia. Ale bądź co bądź pod tą maską dandyzmu, wyrafinowania, katolicyzmu i wyszukanych przewrotności znajduje się biedny dwunogi, nagi zwierz, którego świat porządnie zranił uściskami swej tyranii i który prawdopodobnie szukał tylko tarczy przeciw jego gwałtom we wszystkich tych aparatach przebiegłej Muzy.

Do poetów, którzy grają fałszywie przez wyrafinowanie należy także P. Verlaine: lutnia jego zgrzyta nielitościwie. Ale nie zawsze tak było. Jego początki były nadzwyczaj spokojne. Należał do „Parnasu.“ Ale już wówczas znajomi przepowiadali mu, iż błądzić będzie po wszystkich drogach duchowych. Ponieważ wykształcenie otwiera wszystkie drogi, więc Varlaine wstąpił, jako kancelista do cyrkułu gdzie kopiował swe „Poèmes saturniens,“ na papierze administracyjnym. To nie zapowiadały jeszcze poety najbardziej rozpasanego i najniewinniejszego naszych czasów. Z powierzchowności przypominał już wówczas „satyra, istotą nawpół dziką, nawpół bozką, która przestrasz a, jak siła naturalna, nie poddana żadnym prawom“ **). Ta niepokojąca prostota wyraziła się już w następnych „Fêtes galantes,“ gdzie pary udają się jeszcze do lasu dla uczty, ale laury są obcięte na ich głowach i trawa schnie pod nogami. W „Bonne chanson“ znów jest prostota i słodycz. Verlaine był wówczas zaręczony i kochał. „Satyry i faunowie pewno tak śpiewają, gdy są bardzo młode, gdy je nakarmiono mlekiem i gdy las się budzi w zorzy i rosie“ — powiada Frame.

Po piętnastu latach szału i milczenia Verlaine pokutujący, czy też udający skruchę, zaczął śpiewać hymny religijne. Czy to nawrócenie było szczere? Wątpimy, bądź co bądź było krótkie. W ponownym swym „upadku“ stara się być także szczerym, jak i w nawróceniu: przyjął ich alternatywy z cyniczną naiwnością. Jednoczesność ta dwóch sprzecznych stanów ducha występuje w zbiorku „Parallement.“ Tu znajdujemy się już w pełni baudelairyzmu. Verlaine rozkoszuje się jednocześnie i goryczą grzechu i spazmami rozpaczy. Wogóle religijność jego wywołana jest chęcią wyodrębnienia się, przez pogardliwość względem panującego racyonalizmu, przez smak paradoksu, a także przez fortel, który udaje wiarę, by sobie pozwolić zarazem i efektów skruchy. W tem kryje się zakże jego wstręt do wolnej myśli i do wszystkich haseł politycznych i społecznych naszego wieku. Jest to zresztą obecnie ogólna cecha arystokracyi imienia, pieniądza i talentu: dopóki ateizm wyodrębniał, hołdowała mu, obecnie stała się religijną, by się wyodrębnić od „motłochu.“ Marny sposób wyodrębnienia się? Pod tym względem poloty oryginalności Verlaine'a są nadzwyczaj poziome. Bardziej mu się udaje wyrazić specyalny nastrój życia nieświadomego, poezyę majaczenia, snu, mary. Niektóre rzeczy autora czynią wrażenie jakiejś okropnej zmory, która go prześladuje, a wszystkie jego poezye tworzą się poprzez dym marzeń i lenistwa pamięci. Chodzi tu więcej o muzykę słów i ich melancholię, niż o sens. Jest to poezya powstająca przed słowem, które ma ją wyrazić. Dodajmy, iż Verlaine zupełnie świadomie i po mistrzowsku gromadzi słowa, by tego celu dopiąć. Pod każdą jego prostotą trzeba zawsze podejrzewać jakieś wyrafinowanie.

A nous qui ciselons les mots comme les coupes
Et qui faisons des vers émus très froidement...
Ce qu'il nous faut, à nous, c'est au lueur des lampes
La science conquise et le someil dompté.

Z tego wyznania widzimy, iż poezya jest dla Verlaine'a nie natchnieniem, lecz rzemiosłem, sztuką. Wszelka niezręczność jest tu dobrze obmyślana, narówni z każdym wybuchem namiętności i z każdą przebiegłą naiwnością. Takie są skutki zaniku instynktu i panowania refleksyi w poezyi.

Bourget chwali dekadentów za to, iż są „epikurejczykami melancholicznymi tego dziwnego wieku, gdzie kruszce najcenniejsze cywilizacyi i natury się spławiają, w głowie zupełnie młodych ludzi, jak w retorcie rozpalonej i inteligentnej.“ Dwaj powyżsi pisarze stanowią najlepszy dowód, iż ta mieszanina różnych cywilizacyj jest nadzwyczaj uboga i zużyta. Przyznajemy wprawdzie, iż wszystkie możliwe kombinacye starych czynników nie są jeszcze wyczerpane. Przeciwnie, takie pomieszczenie Mefistofelesa śród sfinksów można uważać za jeden z najgenialniejszych pomysłów artystycznych. Ale czy to wszystko wystarcza? Czy odrodzenie poezyi i sztuki nie kryje się raczej w ideałach przyszłości? Częstochowska pod względem formy poezya jakiegoś Bellamy ma w istocie swej nieskończenie wyższe poloty, niż wspaniale upierzone kolibry Baudelaire'a i Verlaine'a. Z drugiej strony zachodzi pytanie, czy nie ma lekarstw na ten okropny stan rozkładu duchowego, ktory u tych pisarzy znaleźliśmy? Dusza współczesna jest ogniskiem tak wymagającem, iż rzeczywistość na swych codziennych, trywialnych, mieszczańskich drogach zaspokoić jej nie może. Schodzi więc na bezdroża chorobliwych wybryków, albo też ucieka w świat fantazyi, która nie mając żadnych obszerniejszych widnokręgów przyszłości, skazana jest na ubóstwo.

L. W.

---

*) *Revue des deus mondes*, luty 1892 Faguet i Stedhal.

*) Lemaître, *Les contemporains* t. IV. Paryż 1891.

*) A. France. *La vie litteraire III*, Paryż 1891.

LITERATURA POLSKA.

[Niedźwiecki Zygmunt. *Słońce*. Nowelle i szkice, Warszawa.

Szkice pominę, bo są tak nikłym drobiazgiem i tak skromnym nabytkiem dla piśmiennictwa naszego, że w pamięci czytelnika zostawić mogą tylko ślad muszki, przelatującej w powietrzu lub pająka, wodnego przemykającego po powierzchni toni, i jeno troskliwości autora, który bał się uronić najmniejszej nawet cząstki swojej twórczości, zawdzięczają to, że zostały wplecione do ogólnej wiązanki wydawniczej. Ale nowele, przynajmniej niektóre, i z treści, nie zaś formy artystycznej, dość powszedniej, zasługują na nieco uwagi.

Oto mamy przed sobą obrazek, oparty na typowym dla dzisiejszych stosunków procesie społecznym i nazwany przez autora *Nową erą*. Odkąd w zapadłej i okolonej milowym pasem pustki, mieścinie galicyjskiej, Kącie, odkryto źródło nafty, nastała dla niej zaiste „nowa era.“ Wraz z wtargnięciem do tego zaścianku wielkiego przemysłu, który za swoim rydwanem ściągnął liczniejszy, niż w niejednym warsztacie rzemieślniczym, zastęp najemników, wraz z rentą górniczą, która szybko wzbogaciła niejednego posiadacza lichego szmatka ziemi, rozpoczyna się typowo nieodłączny proces rozkładu w życiu, obyczajach i poglądach obywateli małomieszczańskich. Rozterka ta i stopniowe ustępstwa starych pojęć wobec nacisku nowych potrzeb, zbudzonych przez wielką produkcyę, czyli, inaczej mówiąc — przystosowywanie się moralności drobnomieszczańskiej do następstw wkroczenia wielkich środków wytwarzania w zacisze rzemieślnicze, posłużyło p. N. za wątek do noweli, która mogłaby nosić jeszcze prostszą nazwę — „narodziny prostytucyi w mieścinie galicyjskiej...“ Streśćmy.

Przemysł naftiarski powołał w miasteczku do życia kilka przybytków: jadłodajnię w barakach kopalni i „zakład“ Fajwlowej, żydówki, która dotąd miała źle rentujący kramik w pobliżu kościoła, zamieniony później, pod dobroczynnem tchnieniem wielkiego kapitału, na kawiarnię z obsługą kobiecą. Właściwe znaczenie tej instytucyi zrozumiano nie odrazu. Pierwsza poznała się na niej pewnej niedzieli pani burmistrzowa, osoba najpoważniejsza w miasteczku — żona Migdała, który od chwili gdy na jego gruncie zaczęła tryskać na dziewięć metrów w górę ropa, zamienił mozolne kopyto szewckie na kiesę renciarza. „Idąc w należytej napuszystości z dwiema córkami, dorosłemi dziewczętami małomiasteczkowego typu, na sumę, dama ta spostrzegła ze zgrozą prawem okiem w otwartem oknie żydówki kilka młodych, niedostatecznie odzianych dziewek, które bardzo wesoło zdawały się bawić kosztem śpieszących na modły wiernych.“ Pani Migdałowa zarumieniła się z gniewu, pewna będąc, że bezwstydnice ją i jej córki wyśmiewały. Natarła na męża, żeby on z urzędu położył kres temu bezeceństwu. Potulny małżonek skarcił ostremi słowy nowoupieczoną „maciorę“ małego miasteczka, Fajwlową. Odtąd nad nią zawisła burza obrażonej moralności bogobojnego zaścianku. Oburzenie pani burmistrzowej prędko się udzieliło innym kapłankom ogniska rodzinnego i rosło w miarę tego, jak rosła wziętość zakładu Fajwlowej. Zacny gniew ich podsycała bowiem obawa o mężów. Innym razem pani burmistrzowa wymówiła dom „werkfirerowi“ za to, że on należał do stałych gości żydówki. W miarę postępów procederu Fajwlowej, atak na nią stawał się coraz groźniejszy, aż nareszcie pewnego dnia „ojcowie“ miasta, przyparci do muru przez małżonki dbałe o ich cnotę, wynaleźli najbardziej uzasadniony prawnie i najskuteczniejszy środek wyrugowania tego gniazda zepsucia: oświadczyli żydówce, iż ponieważ lokal przez nią zajmowany starością swoją zagraża życiu gości, musi go opuścić. Opuściła — i nie tylko lokal, ale i miasto, bo nikt nie chciał przyjąć „obrazy boskiej“ pod swój dach. Osiedliła się więc ze swoim „fraucymerem“ o parę mil od miasta.

Uderzając jednak w ten sposób na prostytucyą, moralność małomieszczańska nie zadała jej śmiertelnego ciosu, owszem, przekonała się wkrótce, niestety, że ona już w zalążku zdołała stać się nieodłącznym środkiem zaspokojenia rzeczywistej i koniecznej potrzeby, wyrosłej na gruncie przemysłu wielkiego — naftiarstwa. Należało chyba usunąć główne źródło — kopalnie nafty. Ale w takim razie usunąłby się też grunt z pod nóg renciarzy, gdyby zniszczono krynice ropy, tryskające nietylko światło i ciepłodajną naftą, ale, co jeszcze ważniejsza — strumieniem guldenów. To też gdy ogół spożywców towaru Fajwlowej objawił swe niezadowolenie z jej banicyi, „ojcowie miasta“ ustąpili, bo z kolei wypadło im bać się już o nietykalność żon, sióstr i córek, tak jak przedtem, powołując swoich mężów do zwalczania zła, zazdrosne żony drżały o cnotę małżonków. Bardzo prędko po wydaleniu Fajwlowej posypały się ze strony pokrzywdzonych energiczne protesty, wyrażone szeregiem zgwałceń i zapowiedzią powtarzania nowych. Popłoch ogarnął ciche i uczciwe ogniska domowe. Mężczyźni zagrożeni straszną możliwością, gorzko pożałowali zapalczywości względem wygnanej rajfurki. Wprzód zwalczali prostytucyą, a teraz — zatęsknili za nią, jak za zbawieniem. Ten sam burmistrz Migdał, który w popędliwości „uczciwego“ małomieszczanina wypędził na cztery wiatry Fajwlową, teraz niepysznie udać się musiał w posły do pogardzonej rajfurki i nietylko zapewnić ją z urzędu o nietykalności jej procederu, ale wprost pokornie zaprosić, żeby pospieszyła na odsiecz oblężonej czci niewieściej.

Tak w streszczeniu wątku wygląda „nowa era“ p. N. W rzeczywistości jednak cały ten proces narodzin, zwalczania prostytucyi i zgody z nią — odbył się zapewne w nieco odmiennym porządku. Nieoswojony zmysł moralny drobnomieszczan musiała ona razić z początku, ale pojednawczość względem rajfurki, później zjawiająca się u „ojców miasta,“ mogła być wynikiem nie tyle obawy o niewinność córek, ile znieczulenia moralności drobnomieszczańskiej, zjednanej złotodajnością wielkiego przemysłu. Dla takiego dobrodziejca warto coś ustąpić... Cała zas historya o zbiorowych gwałceniach córek zamożnych obywateli w rzeczywistości była zapewne jakimś nadzwyczajnym i pojedynczym faktem, podanym może zbyt skwapliwie przez jakiegoś reportera. Zalążek ten w wyobraźni autora wyrósł do potwornych rozmiarów i w takiem rozwinięciu zdaje się zdradzać prawdziwą, typową i ulubioną myśl filistrów, że prostytucya jest „klapą bezpieczeństwa“ wobec pewnych namiętności, nurtujących społeczność. W takim razie mamy tu do czynienia z mieszczańską obroną zjawiska, będącego kwiatem cuchnącym ukochanej roślinki, którą zwłaszcza Galicya umie osłaniać od złych powiewów przy pomocy licznego zastępu niezmordowanych ogrodników. Bądź co bądź, winienem przyznać p. N. jedno: że ma ostry zmysł spostrzegawczy, który przy dalszym rozwoju zapewnić mu może miejsce w piśmiennictwe. Radziłbym tylko nie rozdrabniać talentu na błahy proszek drobnej beletrystyki dziennikarskiej, pogłębiać nieco więcej myśl i otrząsnąć się z filisterstwa, które go może sprowadzić na poziom banalności, jak to zresztą już stało się z nim np. w noweli, osnutej na tle uroczystości tłumów najemnych. Wielki, poważny i brzemienny w następstwa objaw dziejowy rzucony w niej został lekkomyślnie pod nogi flirtu buduarowego, w ofierze miłostkom salonowym, i zdradza zadowolenie renciarza, który rad z „rozwianej chmury,“ zaciera ręce i pełny otuchy woła do siebie: „mieli gwałcić, a nie gwałcą!“

W „nowej erze“ p. N. zdradza talent karykaturzysty społecznego, który umie śmiać się nad rozkładem „organizmu“ iście mefistofelesowym śmiechem. Radziłbym mu szczerze, żeby na tem stanowisku pozostał zawsze. Że ma sporo zdolności podchwytywania najznamienniejszych rysów fizyognomii naszych czasów, dowodzi tego inna nowela p. n. *Kłopot*. W kłopocie jest tutaj pan młody podczas godów weselnych wobec żony, z którą lada chwila zostanie sam na sam.

Zyg. Piet.

ŚRÓD MUZ.

II.

Przerwany pojedynek. Jose Gernela.

Snadź plon artystyczny, ostatniego turnieju malarskiego nie zadowolił Towarzystwa Zachęty i choć rozdało ono sporo nagród, to jednak bez wewnętrznego przekonania, zarazem bowiem umyśliło dać uwieńczonym i pominiętym delikatną nauczkę, jak to właściwie malować należy, ażeby zjednać sobie prawdziwy oklask znawców. Taki chyba a nie inny zamiar wyczytać można z faktu niedawnego przybycia płótna, które ustawiono w osobnym pokoju dla zbudowania drużyny malarskiej i uciechy tłumów.

Jeżeli domysł nasz jest niemylny, tedy bezstronność przyznać każe, iż Zarząd Salonu na jednym przynajmniej (bardzo ważnym) punkcie celu swego dopiął, pozyskał bowiem dzieło niepospolitych rozmiarów przestrzennych. Jego autor, hiszpan, dotąd zdaje się, przez kronikę bieżącą sztuki europejskiej nie uwieczniony jeszcze, okazał właściwą swej rasie szerokość natury i materyałów nie żałował. To zaś, co z ich pomocą stworzył, tak się, mniej więcej przedstawia. W lesie o niewyraźnym gatunku drzew, nieopodal samego skraju, w miejscu, skąd widać przez wyręb w gałęziach odległe pola i łąki, stoi elegancki ekwipaż, zaprzężony w dwa gniadosze, a tuż przy nim dwie grupy osób. Jedna złożona z dwóch balowo ubranych pań i kilku panów otacza mężczyznę bez surduta i kamizelki, z czołem nachmurzonem i usiłuje mu wyrwać szpadę z rąk oraz odwieść od chęci zakończenia sprawy honorowej, druga zaś przez samą tylko płeć męską reprezentowana czyni podobneż usiłowania z drugim zapaśnikiem. Krótko mówiąc, scena znana doskonale wszystkim, co czytali lub widzieli *Właściciela kuźnic* Jerzego Ohneta, lub inny jaki tego rodzaju melodramat, francuzi bowiem napłodzili ich co niemiara.

Jakkolwiek w teatrze sztuka ta jest szczytem płaskiej zręczności, lub, jeśli kto woli, zręcznej płaskości, to przecież niesmak, jaki ona w widzu bardziej kapryśnym wywołuje nie powinien bynajmniej spadać na kark malarza. Ten, zamiast fabuły, snującej się i zakończonej ku powszechnemu zadowoleniu — może łatwo wybrać tylko jeden z momentów psychologicznych, oderwanych zupełnie od tego, co je poprzedzało, lub co po nich nastąpi, i jeśli go stać na niezbędną dozę talentu, stworzyć nawet arcydzieło. Prawda, że niektóre *articles de Paris*, motywy sensacyjne, skandaliczne a zarazem szykowne i modne lepiej się wydają na tle *Figara*, niż na obrazie, od którego sztuka dzisiejsza wymaga wielkiej powagi i większej nieco obojętności na powodzenie bulwarowe, ale sam przez się pojedynek między mężem a byłym konkurentem, czy też między Pawłem a Gawłem w ogólności tylež, jeśli nie więcej nastręcza pola do popisu ekspresyi, co borykanie się Achilla z Hektorem. Z takiego punktu

widzenia, a chyba możliwie bezstronny — sądząc malowidło Jose Gernela, wypadnie żądać odeń rzeczy nie tak znowu rzadkich i trudnych, bo dobrego smaku, wytworności, wybredności w pojęciu i obrobieniu motywu. Czy podobna mniej? A przecież ilość tego specyału zostaje tam akurat w stosunku odwrotnym do obszaru płachty. Główne niemal miejsce zajmuje powóz z parą koni, tak piękny i świecący, jak się tylko na szyldach lakierników widuje i dwie suknie, jedna z koronek koloru *crème*, druga barwy *heliotrope*, z tak malowniczo ułożonemi i sfałdowanemi trenami, ażeby na ich widok mogły połykać ślinkę wszystkie bohaterki i królowe wełnianych wieczorków. Darowalibyśmy zresztą tę krawiecką ambicyę Gernelowi, który jest może „uczniem Wortha," machnęlibyśmy nawet ręką na wspaniały, budzący w złotej młodzieży zazdrość — krój płaszcza lokajskiego, gdyby można się było domacać czegoś żywego w figurach. Nic a nic — są to manekiny nietylko że bezduszne, głupie, nie nie mówiące, ale nawet beztwarzowe, malarz bowiem potrafił dziwnym kunsztem tak upozować wszystkich, ażeby wszystkie wrumel fizyognomie były dla widza ukrytemi. Jedni więc są pochyleni, inni odwrócili się plecami, reszta znowu pokazuje źdźbło profilu i tylko jeden z przeciwników, ów zasępiony i gniewny, ma twarz widzialną i nie całkiem pozbawioną wyrazu. A prawda, stangret siedzący na koźle zajmuje miejsce poczesne i niby słucha rozkazów grooma, ale co to za słuchanie zabawne! Tak więc moment najwyższego napięcia rozpadł się na same palta i spódnice. Dama błagająca ma minę, jak gdyby chciała wziąć wysoką nutę i dla ułatwienia sobie zadania, stanęła na palcach i wyciągnęła szyję; jegomość, który wyrywa szpadę drugiemu z walczących, nie wiadomo dlaczego pada nań; ktoś inny podnosi wachlarz czy ogon; cztery figury są ze ścisłą, geometryczną równoległością pochylone na prawo, trzy zaś na lewo; jednemu koniowi grzbiet cały i zad wlazł w heliotropową zarzutkę pani; drzewo, mające zapewne stać dalej, wlazło — nie żartujemy wcale — między oba rumaki... Słowem stek bezsensów, błędów, jednostajności, ruchów sztywnych i twardych jak ruchy Carnota na rysunkach Caran-Dache'a, gdzie szanowny prezydent składa się z samych desek; krzyczące niedołęstwo kompozycyi, która uczyniła prawą grupę tak podobną do lewej, że mimowoli szukamy jeszcze trzeciej, czwartej itd.

Zazwyczaj tego rodzaju niezdary i efekciarze celują umiejętnością malowania odzieży i akcesoryów martwych. Zalety tej i Gernelowi odmówić nie można. Do aktywów jego należy także nienajgorszy pojazd i dobra trawa w lesie. To też za nie, jak uważaliśmy, Salon każe sobie... dopłacać. No, ale z tego zarzutu mu czynić nie wypada, bo przecież nauczył swojskich artystów jak mają malować!

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Szkolnictwo.

Szkoły, które nie uczą greckich aorystów i rzymskich przepisów podatkowych, ale które uzdolniają swych wychowańców do walki o byt, są obecnie przedmiotem szczególnej troski i pragnień ogółu. Naturalnie chodzi tu nadewszystko o techniczno-przemysłowe. W roku zeszłym obiegało prasę kilka projektów, które odleciały i znikły jak owe słupy z kurzu i liści, tańcujące po drogach. Otworzona w Częstochowie szkoła ogrodnicza p. Zawady, zdaje się, nie uczyni zadość tej ważnej potrzebie po prostu dlatego, że nie posiada odpowiednich sił nauczycielskich i środków materyalnych. Przy sposobności zaznaczymy, że podniesiona przez nas myśl ustanowienia objazdowych instruktorów ogrodniczych znalazła rzecznika w p. Jankowskim, który ją przedstawił na ostatniem zebraniu Towarzystwa ogrodniczego wraz z drugim wnioskiem, dotyczącym wędrownych nauczycieli tej umiejętności, którzyby ją wykładali po wsiach i miasteczkach.

Nie mając bliższych zalążków szkolnictwa średnio-technicznego, zanotujmy dalsze. Korespondent *Wieku* z Wilna poznajamia nas z historyą i obecnym stanem projektu szkoły rolniczej. Przed jedenastu laty zarząd miejski postanowił założyć tam szkołę rolniczą lub rolniczo-techniczną, przeznaczywszy na ten cel dom, 20 dziesięcin ziemi w blizkim folwarku Leoniszkach i 4,000 rs. zapomogi rocznej. Ziemianie wileńscy ofiarowali jednorazowo 17,450 rs. Po rozmaitych zmianach w zamiarze ostatecznie 1890 r. opracowano projekt ustawy (według którego skarb państwa miał udzielić kredytu w sumie 25,766 rs.) i przedstawiono go do ministeryum oświaty. Stąd wrócił on do kuratora okręgu naukowego, który dla wydania opinii wyznaczył osobną komisyę. Tymczasem powstało starcie żądań między dwiema stronami, które dostarczyły przyszłej szkole zasiłków pieniężnych, między miastem, które chciałoby mieć techniczno-przemysłową i ziemianami, którzy znowu pragnęliby posiadać rolniczą. Dotąd ta różnica życzeń nie została wyrównana, spór jednak ma być wkrótce rozstrzygnięty a szkoła — taka lub inna — otwarta w roku przyszłym.

Inny korespondent tegoż pisma donosi, że nowa szkoła techniczna w Moskwie uorganizowana będzie według wzoru instytutów technicznych w Petersburgu i Charkowie. Opłata wszakże wynosić będzie nie 150 rs., lecz 50 rocznie. Internaty, z których korzystają stypendyści, zostaną zniesione. Wykłady otrzymają przeważnie charakter praktyczny. Wychowańcy, którzy ukończą kurs mechaniczny, otrzymają prawo podejmowania się robót prywatnych, z czego dotychczas korzystali tylko inżenierowie mechanicy. Tych kilka szczegółów nie zaspokaja ciekawości interesowanych, to też nie omieszkamy donieść więcej, skoro tylko ustawa zostanie zatwierdzona i ogłoszona.

Wystawy jako rynki.

W wystawie inwentarza i wystawie nasion nasi producenci rolni mieli bardzo dobry, a w ostatnich czasach bardzo korzystny rynek dla zbytu płodów swej starannej hodowli. Obie pomimo takich rezultatów nie utrwaliły się, a nawet groziły upadkiem. Podtrzymano je, ale — rzecz dziwna — uczyniono z nich jakąś co powien czas wracającą febrę ziemiańską. W tym roku wystawy nasion nie będzie. Ze stanowiska swoich czytelników *Niwa* słusznie się o to gniewa, wyrzucając kierownikom przedsięwzięcia niezaradność, niedołęstwo i niedbałość o własne interesy. Do tej wymówki należałoby dołączyć pretensyę nabywców. Posiadacz małego folwarku, dzierżawca, wogóle producent z drobniejszych konstelacyj ziemiaństwa chce zaopatrzyć się w lepsze gatunki nasion zbożowych lub inwentarz — dokąd się zwróci? Albo nie wie, kogo ma zaczepić, albo wie, że tam gdzieś o kilkanaście lub kilkadziesiąt mil od niego ktoś sprzedaje piękne żyto albo krowy poprawnej rasy. Rozważywszy: niepewność, trudy, koszta — macha ręką i kwituje ze swych zamiarów. Wystawa — albo ściślej mówiąc — targ na produkty wyborowe usuwa te kłopoty i daje możność zaopatrzenia się w najbardziej pożądane. Jest to kwestya tak jasna, że dziwić się tylko można, dlaczego rozumni ludzie kiwają nad nią głowami lub stukają w palce, narzekając jednocześnie na zastój i „ciężkie przejście rolnictwa." *K.*

Ostatnie rachunki.

Kuryer warszawski podaje wiadomość całkiem nieprawdopodobną, a według naszych informacyj nieprawdziwą, jakoby po zlikwidowaniu kasy emerytalnej kolei Terespolskiej postanowiono skapitalizować mnożnikiem 6 pensye emerytów i jednorazowo im je wypłacić, resztę zaś funduszów przenieść do nowej kasy jako składki urzędników, którzy pozostali na służbie. Z takim projektem miał pojechać p. Weychert do Petersburga. Przedewszystkiem przyjęcie jednorazowo 6-letniej emerytury wraz ze zrzeczeniem się dalszych pretensyj zależy od tych, którzy ją pobierają i którzy z pewnością na taką operacyę się nie zgodzą. Kto wysłużył np. 1,000 rs. rocznie, nie weźmie 6,000 odrazu, jeżeli ma nadzieję pożyć jeszcze lat 15 lub 20. Powtóre, o ile nam wiadomo, kapitał zwiniętej kasy zaledwie wystarczy na pokrycie emerytur już przyznanych, nie będzie go więc na zwrot składek, wniesionych przez urzędników dotąd czynnych, a tem mniej z procentami! Życzylibyśmy im szczerze, ażeby tak się stało, ale mniemamy, że o tem chyba żaden z nich nie marzy. Zarząd kolei podziela to słuszne przekonanie, że naprzód muszą być zabezpieczeni emeryci, a dopiero reszta (która niezawodnie się nie okaże) przypadłaby uczestnikom nowej kasy. *Z.*

Lombardy.

Od dawna ważą się losy prywatnych fanciarni w Warszawie, które pod osłoną przepisów stoją na równi z lichwiarzami i dzielnie współzawodniczą z lombardem miejskim. Miarą ich powodzenia może być zaznaczany przez pisma codzienne fakt, że z dniem każdym do lombardu miejskiego coraz mniej się zgłasza zastawców. W roku zeszłym po skórze właścicieli tych skromnych zakładów przebiegł dreszcz trwogi, gdy się dowiedzieli o projekcie utworzenia kilku filii lombardu miejskiego w tych samych dzielnicach, gdzie są prywatne. Przekonali się jednak, iż to są strachy płonne, gdyż projekt nie tak prędko przyjdzie do skutku, a nawet w razie urzeczywistnienia, nie zaszkodzi im bardzo wobec wyższego szacowania fantów, ponętnego dla potrzebujących kredytu. Na takie ryzyko zakład zastawniczy miejski nigdyby się nie odważył. Fanciarze atoli prywatni, dzięki hołdowaniu maksymie: „kto nie ryzykuje, nie nie ma," stają się „poważnymi" i „solidnymi" kapitalistami z pierścionków, łyżek srebrnych, odzieży i — z licytacyi przedmiotów kosztownych, których zastawca nie może bardzo często schronić dzięki jedynie temu, że wszelkie szczegóły na kwitach i data pisane są w sposób zrozumiały tylko dla właściciela fanciarni. Jak są pobierane procenty, jaka jest zasada ich obliczania, tego najbieglejszy rachmistrz zrozumieć nie może. To tylko wiadomo, że odsetki są olbrzymie, częstokroć o wiele przewyższające skalę, określoną przez prawo o lichwie. Przed paru tygodniami właściciele lombardów prywatnych poczuli coś niedobrego, skoro aż 30-tu złożyło władzy deklaracyę zniżenia stopy procentowej do 3% miesięcznie. Jakoż istotnie zawisła nad nimi groźna reforma. Według doniesień *Kuryera warsz.*, nowe przepisy już opracowane w ministeryum spraw wewnętrznych, będą przedstawione do zatwierdzenia komitetowi ministrów. Wysokość stopy procentowej wraz z kosztami administracyi i ubezpieczenia będzie dla wszystkich bez wyjątku lombardów unormowana; zależeć ma ona nietylko od sumy zaliczeniowej, lecz i od terminu, na jaki pożyczkę zaciągnięto. Nadto, zwiększony będzie rygor, określający odpowiedzialność właścicieli lombardów w razie stracenia, lub uszkodzenia zastawów, tudzież ściślej-

sza kontrola władz policyjnych nad działalnością fanciarni wreszcie pilnowanie, aby ich właściciele nie byli paserami. Lombardy z większymi kapitałami obrotowymi, działające jako zatwierdzone prawnie towarzystwa akcyjne, otrzymają przywilej w przyjmowaniu na zastaw: papierów procentowych publicznych, nieruchomości wiejskich i miejskich, zakładów fabrycznych lub przemysłowych, produktów rolnych, fabrycznych itd., za złożeniem kaucyi nie mniejszej niż 50,000 rs. i na warunkach, które specyalnie będą określone. Jeżeli zatem projekt pod tą postacią będzie zastosowany w praktyce, lombardy akcyjne staną pod względem przywilejów zastawniczych na równi z bankami. Co do prywatnych, utrzymywanych przez pojedynczych przedsiębiorców, byłoby wielce pożądane, gdyby przy ściślejszej kontroli policyjnej zwrócono uwagę, czy podczas licytacyi nie uczestniczą fikcyjni nabywcy przedmiotów kosztownych, działający w porozumieniu z właścicielem lombardu. *Zn.*

Do ziemi obiecanej.

Pomimo ostrzeżeń ze strony br. Hirscha, ażeby żydzi wstrzymali się z emigracyą do Argentyny, dopóki nie zostaną załatwione pewne formalności kolonizacyjne, dążą oni do nowej ziemi obiecanej. O rozmiarach tego napływu nie dają nam wyobrażenia ścisłe cyfry, w które on ująć się nie da, ciągle wszakże słyszymy o gromadkach śpieszących za ocean. Zwykle wychodźcy sprzedawszy całe swoje mienie i zebrawszy zapomogi, odjeżdżają na własne ryzyko — jedni mając dostateczne środki do zagospodarowania się w Argentynie, inni spodziewając się, że skoro tam już osiądą, organizacya Hirschowska nie odnowi im swej opieki. Tak np. dwieście rodzin z Besarabii wysłało pełnomocników dla zakupienia im gruntów, z wielu zaś miast i miasteczek wyjechały do Argentyny rekonesanse, które mają zbadać położenie rzeczy i przywieźć pewne wiadomości. Przyszły naczelnik tamtejszych kolonij żydowskich, półkownik wojsk angielskich, A. Goldsmid, wyrusza do Buenos-Ayres dopiero w końcu bieżącego miesiąca i ogłoszonym w pismach listem stara się tymczasowo zatamować napływ żydów do Argentyny, ponieważ jednak zapowiada, że ona wkrótce przyjmie ich w większej masie, więc nic dziwnego, że wielu spieszy, ażeby czekać tej chwili przed innymi na miejscu. Z wiosną też spodziewać się można zwiększonej wędrówki do „ziemi obiecanej.“

Teatr.

Teatrem zajmujemy się mało, zaznaczając tylko ważniejsze w nim momenty. Nie możemy bowiem dotychczas pojąć, mimo tysięcy sprawozdań, spotkanych, przejrzanych lub przeczytanych w naszej prasie, w czem tkwi ważność przedstawienia byle roboty scenicznej, która dziś powstaje, jutro ludzi ogłupia, a pojutrze zaczyna niknąć. Od pewnego czasu jednak teatr nasz, w dziedzinie dramatu i komedyi, wszedł na drogę, na której publiczność i krytyka mogą mu towarzyszyć z uwagą i sympatyą, gdyż reżyserya ujawnia wyraźną dążność wprowadzenia do repertuaru sztuk rzeczywistej wartości literacko-społecznej. Że ten zwrot nie zawodzi jej w rezultatach kasowych, świadczą między innymi dramaty Sudermanna. Obecnie ma być wystawiony „Manfred.“ Autor niniejszej notatki, który nie umie i nie chce bałamucić ani własnej, ani cudzej głowy, wyznaje szczerze i skromnie, że nie rozumie tego poematu, a nawet przypuszcza, że go nie rozumieją wszyscy inni, nie wyłączając samego Byrona. Jest to zalążek pomysłu, przybrany we wspaniałe szaty dojrzałego bohatera, wyraźny i piękny w szczegółach, zagadkowy w całości. Ale nie o krytykę tu nam chodzi, tylko o zaznaczenie śmiałego kroku, jaki czyni reżyserya w tem przedsięwzięciu. Zrywa ona bowiem z dotychczasową tradycyą, która pozwalała ukazywać jedynie utwory, posiadające — jak brzmiała recepta — „warunki sceniczne,“ niepozbawione realizmu i cech życia rzeczywistego. Tych znamion „Manfred“ nie posiada. Wprawdzie wynagradza je a po części usprawiedliwia wystawienie muzyka Schumanna, która mu nada charakter nieco operowy, w każdym razie większość scen odegrana będzie jako dramat — dramat, wobec którego Sardou załamałby ręce z rozpaczy. My je zatrzyjmy radośnie. Bo niechże przynajmniej od czasu do czasu myśl nasza, zakurzona pyłem drobnostek życiowych, z których piekarze teatralni wyrabiają ciasto sceniczne, skąpie się w zdroju prawdziwej poezyi. Niech tam sobie aktorzy nieśmiertelnikami i wawrzynami wieńczą fabrykantów efektu, Byron pozostanie olbrzymem, dającym ludzkości takie zadowolenia, jakich oni jej nigdy dać nie mogą. *O.*

Pora koncertowa.

Wcześniej niż zwykle, bo nie czekając wielkopostnego popiołu, zaczęła się w Warszawie pora koncertowa, która zarwała nieco z karnawału. Ale jak gdyby bożek zapustny chciał ukarać śmiałków za pogwałcenie czasu jego władzy, uwertura popisów estradowych wypadła bardzo smutnie. Najostrzejszym w niej rozdźwiękiem był występ pani Etelki Gerster w Towarzystwie muzycznem, której tłumnie zebrani słuchacze, nadstawiwszy ciekawie uszy, nagle wytrzeszczyli oczy. Okazało się bowiem, że „słynna śpiewaczka“ ma w gardziołku rozbity garnuszek, że ani nie posiada głosu, ani go nie umie używać. Publiczność przyjęła artystkę na kredyt zagranicznego hałasu, ale przecież ktoś jej otwierał podwoje Towarzystwa, kto powinien był przedtem bodaj powierzchownie sprawdzić, czy nie wpuszcza do klatki zwykłej sikory, zamiast słowika. Ten obowiązek jest konieczny skoro za prawo wejścia do sali trzeba płacić, a za nieprzyjemność rozczarowania nie można zarządzać zwrotu pieniędzy.

Na szczęście złe wrażenie po węgierce zatarła włoszka, p. Gini. Zwłaszcza jej występ w „Hugonotach“ dał wiele rozkoszy Warszawie, która z rzadkiemi przerwami słucha miauczeń marcowych. P. Gerster miała towarzysza p. Liebelinga, który wyprawiał sztuki łamane na fortepianie, p. Gini zaś — p. Pizzorniego, który stanowił z nią parę operową bardzo dobraną.

Nie zapomniano i u nas o pamiątce setnej rocznicy (29 lutego) urodzin „łabędzia z Pesaro“ — Rossiniego. Oddawna już mądrzy teoretycy słowem a mądrzy kompozytorowie czynem udowodnili, że formy muzyczne, których używał ten mistrz są przestarzałe, a jego dzieła zajmują „stanowisko pokonane.“ Z tych wszakże wyroków i przeciwstawień śmieje się „Cyrulik sewilski,“ który ciągle z domu inwalidów wyskakuje młody na scenę i zachwycając słuchaczów, obiecuje, że ich czarować będzie jeszcze wtedy, kiedy „muzyka przyszłości“ odejdzie do przeszłości. Wprawdzie sam jej prorok Wagner, który ze wzgardą Zoli patrzył na swych poprzedników i współczesnych, obdarzył Rossiniego zaszczytem wielkiej pochwały, ale prawdopodobnie dlatego, że twórca „Cyrulika“ przyjął go bardzo grzecznie w Paryżu i zapewnił, iż niezadowolony jest ze swej działalności a po „Wilhelmie Tellu“ nic już nie napisze (wstrzemięźliwość ta trwała lat 37 — jedyny wypadek w historyi sztuki!).

Wł. Żeleński przybył do Warszawy i urządza koncert kompozytorski. Jest to zawsze uroczystość muzyczna, chociaż bowiem nie należy on do geniuszów, ale niewątpliwie należy do talentów wysokiej miary i przedstawia owoce swej twórczości nieznane.

W tym tygodniu ma się również odbyć koncert p. Maszyńskiego, dyrektora „Lutni“ oraz wieczór poświęcony przez Towarzystwo muzyczne Chopinowi w dzień jego urodzin.

Na tych faktach i zapowiedziach nie kończy się naturalnie tegoroczna pora koncertowa. Wiele jeszcze bohaterów swojskich sięgnie po laury i wiele zagranicznych — po pieniądze. *M.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEWRÓT W PRODUKCYI ŚRODKÓW ŻYWNOŚCI

Kto przegląda codzienne pisma niemieckie, wie, jak dużo poświęcają one miejsca w swoich łamach mięsu amerykańskiemu. Mniejsza jednak o właściwości tego produktu, o który dzisiaj toczą się takie spory, nam chodzi głównie o to, że on wybornie uzmysławia tegoczesną dążność, która sprawia, iż przedmioty spożywcze codziennej potrzeby przestają być wytwarzane w obrębie nieznacznego otoczenia, lecz muszą być sprowadzane z coraz dalszych okolic. Wpatrując się uważniej w fizyognomię produkcyi rolnej, nie taką, jak się ona dzisiaj przedstawia naszym oczom, lecz jak uwydatnia się w zamiarach względem przyszłości, spostrzegamy, że wyrób środków spożywczych przechodzi dzisiaj mniej więcej w ten sam stan rzeczy, w jakim znalazła się produkcya tak zwanych fabrykatów: rozmaite gałęzie przemysłu, zamiast być, jak niegdyś, rozproszone jednolicie po przestrzeni całego kraju, występują skupione w pojedynczych okolicach. Jeżeli np. weźmiemy Niemcy, odrazu wyróżnimy odmienne terytorya rolne: żytnio-kartoflane z produkcyą spirytusu, inne — buraczane z rozwiniętym przemysłem cukrowniczym, inne leśne lub nabiałowe. Jeszcze wyraźniej takie zróżniczkowanie przestrzenne produkcyi rolnej występuje w Stanach Zjednoczonych, gdzie stepy dawne od r. 1880 zamieniają się zwolna na obszary hodowli bydła z towarzystwami akcyjnemi, posiadającemi niekiedy po milion sztuk bydła rogatego, tyleż owiec i do półtora miliona koni, a mające na usługach swoich z okładem 10 tysięcy najemników-pasterzy; dalekie okolice Zachodu przekształcają się na olbrzymie „Bonanza,“ fermy i „mamutowe“ folwarki, trudniące się jedynie produkcyą pszenicy; stany z lewego brzegu Missisipi na przestrzenie, produkujące warzywa i owoce, że już nie mówimy o wyspecyalizowaniu się okolic nabiałowych. Nie będziemy zatrzymywali się nad wszystkiemi następstwami tego prądu rozwojowego. Zaznaczymy jedynie, że taka specyalizacya każe już zgóry przypuszczać odpowiednio zorganizowane stosunki wymienne. Weźmy np. rzeźnictwo amerykańskie i tamtejszy handel produktami mięsnymi. Cztery największe rzeźnie w Chicago zabiły u siebie w r. 1888 około dwóch milionów wołów. Rozumie się, ta produkcya mięsa jest obliczona na dalekie rynki, a jakie wywoła zmiany, o tem możemy sądzić z następującego obrazka: „Po długiej a zaciętej walce z towarzystwami kolejowemi, dopięły one (tj. zakłady w Chicago) tego, że dzisiaj wysyłają swoje świeże mięso do każdego większego a nawet średniego miasta na lądzie północno-amerykańskim. Jędrna twarz rzeźników zniknęła niepowrotnie z amerykańskich targów bydła, rzeźnicy sami przestali być samodzielnymi rzemieślnikami i zamienili się na sprzedawców detalicznych, otrzymujący dzienny transport mięsa z owych olbrzymich fabryk.“ Fabryki mięsne posiadają na swoje rozporządzenie własne wagony z odpowiednią maszyneryą oziębiającą, niekiedy w liczbie tysiąca z górą. Prócz Chicago podobne zakłady istnieją

w Kanzas-City, w Omaha, New-Yorku i stąd fala wymienna z mięsem przenika we wszystkie zakątki lądu, gdziekolwiek dochodzi kolej i parostatek, a nawet do ustroni, leżących w niedalekiej odległości od tych arteryj ruchu ludzkiego i towarowego. Zresztą same terminy: „giełdy mleka,“ „hale jaj“ wskazują, że wielki handel opanował już te gałęzie wymiany i że wilk giełdowy pożarł tu i owdzie tradycyjnych drobnych przekupniów tych różnych przedmiotów spożycia codziennego. Wraz z nimi zjawiły się nieznane dawniej zwyczaje. Na halę londyńską otrzymują dostęp jedynie jaja, według przepisów ułożone w podłużnych skrzyniach, tak, aby je można było przepiłowywać, nie uszkodziwszy opakowania samych jaj (których w skrzyni winno być sześć grosów, po 120 sztuk); nadto wymaga się należytego rozsortowania: tych, które nie przechodzą przez kółko, posiadające w przecięciu 40 milimetrów, tych, które przez kółko to przechodzą, lecz nie przechodzą przez inne — 38 milim. w przecięciu i wreszcie trzeciego rodzaju, przechodzące przez to ostatnie. Przytaczam te szczegóły nie nadaremnie. Podczas jarmarku w Bodzanowie we wrześniu roku zeszłego spotkałem przekupkę z deskami określonej miary; zbijała je ona w nową skrzynię w miarę tego, jak dawną zapełniała jajami, przyczem wyróżniała w nich trzy wielkości. Bodzanów, który może o Londynie nie słyszał, trzyma się przepisów tamecznej hali jajowej. Wskazuje to, jak dzisiaj drgania tych pulsów wymiennych prędko i daleko się rozchodzą. Żydówka, kupująca jaja, umiała mi tylko tyle powiedzieć, że pójdą one do Torunia i że jej kazano przygotowywać takie skrzynie— dano miarę.

Łącznie z tą specyalizacyą terytoryów rolnych i wzmaganiem się fali wymiennej powstają odpowiednio wielkie zakłady dla danych artykułów żywności: olbrzymie fermy drobiu, fabryki konserw, masła i sera, mięsa wędzonego itd. Jest to zresztą jedynie dalszy ciąg tego samego rozwoju technicznego, którego pierwszemi ogniwami są gorzelnie i cukrownie. Amerykańskie fabryki mięsa nie są jedynie właściwością dalekiej Ameryki, gdyż np. w Westfalii znajduje się kilka zakładów, wyrabiających każdy po 50—60 tysięcy szynek podczas sezonu.

Zatrzymamy teraz uwagę czytelnika nad rozwojem techniki w zakresie produkcyi masła i sera. Daremnie poszukiwalibyśmy tutaj czegokolwiek, co by przypominało nasze pradziadowskie narzędzia. Wszystko wygląda inaczej, a jeżeli chcemy odnaleźć w stosunkach swojskich jakiś wzór porównawczy, musimy chyba wskazać gorzelnie. Fabryki masła — taką nazwę widziałem na modelach wystawy paryskiej 1889— zewnętrznym swoim wyglądem do nich istotnie najbardziej się zbliżają. Poznajmy jedną w Amherts (stan Massachusets). Założona 1882 r., wyprodukowała w roku pierwszym 6,778 funtów, w 1888 (ostatnim, z którego posiadamy cyfry) już 271 tysięcy z górą. Zakład wysyła do ferm, z któremi wszedł w umowę, stosowne naczynia z kranem u dołu; rozjeżdżający codziennie lub co drugi dzień agent otwiera kran, pozwala mleku wyjść, a zmierzoną śmietanę zabiera. Przywieziona z różnych stron zlewają w olbrzymie zbiorniki, z których ona przepływa do kadzi, mogących pomieścić niekiedy 1,000 i nawet 2,000 litrów. Rury, idące od zbiorników w jednej izbie do kadzi w drugiej, gdzie śmietanka zsiada się przy odpowiedniej temperaturze, obmywanie kadzi i izb strumieniami pary, maszynerya parowa do wyrabiania masła ze śmietany, stacya chemiczna, w której wyrabia się przyprawy, podnoszące smak masła i jego wygląd — oto najważniejsze rysy obrazu. Dodajmy, że dzięki zastosowaniu tych ulepszonych narzędzi, zakład, wyrabiający 800—1,500 funtów masła dziennie potrzebuje prócz specyalisty-technika tylko 2—3 robotników! Rozumie się, do tego należy dodać buchhaltera i agentów, którzy przywożą śmietankę. A wydajność pracy ludzkiej, przy tej samej technice, zwiększa się jeszcze z rozmiarami procederu. Kiedy w jednym z zakładów rozmiary produkcyi zwiększyły się o 150%, koszta wyrobu danej ilości masła spadły o 50%. Zakładów tego rodzaju jest mnóstwo. W Nowej Anglii, jak uwiadamia nas buletyn urzędowy Stanów Zjednoczonych z r. 1889, pierwsza fabryka powstała w r. 1878. Od tego czasu do 1888 liczba fabryk w tej okolicy, jeśli weźmiemy tylko te, które trzymają się pewnej szczególnej metody technicznej, wzrosła do 150 przeszło. W Europie Francya, Szwajcarya, Holandya, Dania i Niemcy poszły za tym przykładem. Zwłaszcza rozwój ten dosięgnął najwyższego stopnia w niewielkiej Danii. Nie posiadamy jednak pod ręką danych statystycznych, pozwalających nam sądzić o rozmiarach tego ruchu. Sprawozdania towarzystwa rolniczego w Szlezwigu - Holsztynie, które posiadamy, mówią, że w tej prowincyi związku niemieckiego pierwsza fabryka masła ukazała się po wojnie francuskiej, w 1885 działało już 100, a wiosną 1886 powstało jeszcze 50 nowych. Późniejszemi danemi nie rozporządzamy. Zwykle jednak zakłady szlezwickie nie mogą wytrzymać porównania z amerykańskimi pod względem rozmiarów.

Jest rzeczą naturalną, że taka technika na wielką skalę pociąga za sobą odpowiednie skutki. Przedewszystkiem uderza w oczy zastosowanie nauki. Nie mówię już o szkołach mleczarskich i in., bo są one niezbędne. Mam na myśli raczej co innego. Póki np. masło lub wędliny były wyrabiane w domu na własne potrzeby lub w niewielkich zakładach dla najbliższego otoczenia, wszystko szło podług wzorów dawnej rutyny; teraz kiedy produkcya odbywa się na wielką skalę, rząd poczuwa się do innych obowiązków. Zakłada doświadczalne stacye mleczne, gdzie poszukuje się sposobów otrzymania największej ilości masła z mleka, bada się wpływy paszy i nawet wzruszeń emocyonalnych u krów na jakość wydojów; czyni się doświadczenia nad wyrobem serów lub niszczeniem trychiny w mięsie; marzy się w Ameryce nawet o pracowniach „ewolucyjnych,“ gdzie systematycznie, użytkując ze wskazówek zootechniki, wytwarzanoby nowe rasy kur, dające większe jaja, krów bardziej mlecznych, świń z bardziej rozwiniętem i smaczniejszem mięsem. Na fermach mlecznych, gdzie wyrabia się mleko, naturalnie większych rozmiarów; wyklęte psy, gdyż wywołując uczucie strachu u krowy, psują samo mleko; każda krowa ma swój „żywot“ troskliwie spisywany — czy nie jest histeryczką, chorowitą, namiętną, oraz ile i jakie mleko daje; doi je się za pomocą pneumatycznych ssawek itd. Podobne zachody widzimy na fermach drobiu zwłaszcza co do kur, przyczem dąży się do stworzenia dwóch „gatunków“: mięsnego — na spożycie, i drugiego, niosącego jaja na sprzedaż. W olbrzymich wędliniarniach i rzeźniach spotykamy pracownię mikroskopową, gdzie każde zwierzę jest badane po zabiciu, oraz zastęp weterynarzy i chemików. Słowem, nauka w całej pełni wdziera się w te rutyniczne dziedziny pracy ludzkiej i sprawia przewrót istotny.

Lecz następstwa społeczne są jeszcze donioślejsze. Ów postęp wymienny i techniczny staje się dzisiaj jedną z najpotężniejszych dźwigni wywłaszczania drobnego posiadacza ziemskiego. Produkty takie, jak nabiał, nierogacizna, drób, które stanowią bardzo znaczną część wytworu osady włościańskiej, idącego na sprzedaż, zostały porwane przez wir wymiany międzynarodowej. Owoc pracy chłopskiej, wypłynąwszy na morze wymienne, spotyka okazy współzawodniczące, wytworzone przy wyższej technice i z tego powodu daleko tańsze; aby więc nie zatonąć, musi przystosować się do tej niższej ceny; co więcej niekiedy pomimo to zaledwie znajduje nabywcę — dzięki gorszej jakości swojej. Widzimy to w Danii, gdzie mleko spółek akcyjnych, które troszczą się nawet o zaoszczędzenie krowom swoim wzruszenia nadmiernego, wyrugowała z rynków stołecznych wszystkie inne — swoją taniością i dobrocią. Wprawdzie mogą nam powiedzieć, że szlezwickie i szwajcarskie fabryczki masła są asocyacyami właścicieli ziemskich, w tej liczbie drobnych, że w Stanach Zjednoczonych fermerzy rozmaitej wielkości łączą się w różnych celach ekonomicznych, że syndykaty rolnicze Francyi obejmują też chłopów, tj., że i drobna własność posiada możność uniknięcia skutków swojej lilipuciej wielkości drogą zrzeszenia. Wszystkie te objawy zrzeszenia rzeczywiście istnieją, ale obejmują one jedynie pewne odłamy chłopstwa, t. zw. gburów, tj. włościan wielkorolnych, i pozostawiają na uboczu małorolnych i średniorolnych. A zatem należy nie mięszać części z całością, i wnioskować, że asocyacye obejmą całe chłopstwo, wówczas kiedy porywają one jedynie jego śmietankę majątkową. Olbrzymie wyrobnie szynki w Westfalii wchodzą w umowy z włościanami, dostarczającymi nierogaciznę, zobowiązują ich do chowu okazów określonej rasy. Podobnie fabryki masła i sera zobowiązują każdego dostarczyciela mleka, trzymania krów określonej rasy obchodzenia się z niemi w przepisany sposób, karmienia ich wyznaczoną paszę itd. Są to wymagania takież same, jak przepisy kontraktów, które zawierają cukrownicy z plantatorami buraków. Aby wszakże wypełnić tego rodzaju warunki, sama osada włościańska musi posiadać już znaczny stopień zamożności, a jeśli go nie ma, odrazu zostaje wypchnięta z rynku. Zresztą, jak wskazują fakty, asocyacye rodzą dla chłopów skutek na pozór nieprawdopodobny — wywłaszczają ich. Fabryka masła, pamiętajmy o tem, jest przedsiębiorstwem, wymagającem rynków, a tymczasem w obecnym okresie dziejowym nic nie ma niepewniejszego nad panowanie na rynku. Po kilku latach powodzenia, podczas których włościanin zamożny wykosztował się i zapożyczył na krowy, nastają kryzysy (zachodzą one już na rynku maślanym i mlecznym) i odrazu stawiają go w położeniu bez wyjścia. To też spółki serowe, mleczne i in. stają się coraz bardziej własnością obrotnych kapitalistów miejskich, którzy będąc jedynymi nabywcami mleka, robią z dostarczycielami, co im się spodoba, jak wykazały dzieje giełdy mlecznej w New-Yorku. Odgrywają one tę samą rolę, co cukrownie w Niemczech. Schippel wykazał, że to wywłaszczenie gburów posuwa się nader szybko, gdziekolwiek związali się kontraktowo z cukrowniami, a tem więcej, jeśli jako akcyonaryusze stali się sami trybikami maszyny cukrowniczej, z tego też powodu nazwał on wszelkie ulgi rządu niemieckiego, czynione cukrowniom, działalnością w kierunku wywłaszczenia chłopów z roli. Ktoś może się cieszyć, że udział akcyjny chłopstwa w cukrowni będzie szkołą samorządu zrzeszonego, w istocie zaś jest on tylko wyciosowywaniem kołków na głowie akcyjnego chłopstwa przez zamożnych akcyonaryuszów i środkiem wywłaszczania go.

K. R. Ż.

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Sklep w Dobrzyniu. W połowie stycznia otwarto w Dobrzyniu sklep spółkowy z kapitałem zakładowym 4.000 rs. Włączono także sklep spożywczy Baranowskiego oceniony na 700 rs. Do spółki należą przeważnie rolnicy okoliczni, którzy dotąd po zakupy musieli jeździć do miast dalszych po drogach lichych, niedogodnych. Na

wiosnę z chwilą otwarcia żeglugi na Wiśle, sklep ma być zaopatrzony w żelazo i inne przedmioty, niezbędne dla spożywców okolicznych. W ogóle w pierwszych dniach przedsiębiorstwa, było dużo zapału i zachęty, ale kto zna losy wszystkich spółek szlacheckich, łatwo może przewidzieć przyszłość i tej ostatniej. Wielce charakterystyczne objawy obecnie już się zaznaczają. „Zaraz na początku — uskarża się jeden z mieszkańców tamtejszych — okazał się brak wytrwałości u nas. Wielu ziemian zobowiązało się rozebrać udziały sklepowe, wynoszące tylko po 25 rs., lecz nawet połowa nie wniosła przyrzeczonej sumy. Jeden tylko p. Ostrowski z Trzcianki wkłady swoje podwoił, ale dotąd napróżno czekamy na naśladownictwo innych pod tym względem.“ Nie na tem się atoli kończy. Są tacy, którzy zapisawszy się na listy wspólników, robią zakupy w innych sklepach, unikając starannie spółkowego, z obawy, aby nie usłyszeć czasem przypomnienia o niedotrzymanem zobowiązaniu. Przesąd dawny, iż handel uwłacza godności szlacheckiej, ujawnił się także przy tej sposobności. Inicyator założenia sklepu, p. Malinowski, redaktor *Zorzy*, dał swoją firmę, żaden bowiem ziemianin nie chciał tego uczynić, „bo to nie wypada“; ale za to wypada niedotrzymać tradycyjnego *verbum nobile*, może dla tego, że ono nie prowadzi dziś do obcinania uszu i nosów, ale — kapitału spółkowego.

Taryfa węglowa. Na 5 marca zapowiedziano w Petersburgu zjazd przedstawicieli kolejowych w sprawie taryfy przewozowej na węgiel. Ponieważ chodzi tu o wprowadzenie dwojakiej opłaty za przewóz: droższej zimowej i tańszej letniej, zmiana więc ta powinna wpłynąć korzystnie na interesy spożywców. Dotychczas największy ruch panuje zimą; kolej Wiedeńska np. w ostatnich latach przewozi rocznie 95—98 mil. pudów węgla przeważnie w miesiącach zimowych; w roku zaś ubiegłym cyfra ta urosła do 112 milionów; są przytem dane, że nadal również będzie wzrastać. Całkiem naturalną jest rzeczą, że dowóz węgla odbywa się głównie zimą; zwiększa się bowiem jego spożycie, a przytem handlarze mają inne wyrachowanie; nie chcą oni, iżby kapitał wyłożony latem nie procentował przez parę miesięcy, zresztą dotąd nie mieli żadnych innych powodów do zaopatrywania swych składów nie w zimie. Obecnie stan rzeczy może się nieco zmienić; jednostajna taryfa, obowiązująca przez rok cały, ustąpi miejsca dwom. Nie wiemy, w jakim stosunku będzie zniżona na miesiące letnie. Jeżeli jednak ta zniżka wyrówna obliczane przez składników straty, wynikające z nieprocentowania kapitału w towarze zapasowym, przedsiębiorcy niewątpliwie zaczną się zaopatrywać w węgiel latem i korzystając z taniego dowozu, zniżą ceny dla spożywców, jeżeli przy jakiej okoliczności nie zechcą ich sztucznie wyszrubować. Naturalnie, taka przyczyna, jak wstrzymanie ruchu z powodu zamieci śnieżnych, upadnie zupełnie.

— Do *Kuryera warsz.* piszą, iż w Kamienskoje, dokąd przeniesiono fabrykę stali z Pragi, wytworzyła się spora kolonijka warszawiaków, złożona z urzędników fabryki, inżenierów i robotników. „W ciągu lat paru kolonia wzmogła się, rozrosła i rozgospodarowała na dobre.“

— Z Tomaszowa Rawskiego dochodzą wieści, iż od kilku już tygodni handel ożywił się znacznie. Ciągle zjeżdżają kupcy; obroty jednak idą leniwiej, niż w innych latach, zakupy o wiele mniejsze. Pomimo ruchu w handlu, nędza śród robotników, spotęgowana drożyzną, nie zmniejsza się wcale, o zwiększenie zarobków zaś trudno, gdyż fabrykanci sprzedają nagromadzone dawniej towary, ograniczając produkcyę bieżącą.

— W Pilicy (gub. kielecka) powstała fabryka słodu. Przerabia ona około szesnastu korcy jęczmienia tygodniowo, płacąc po 6 rs. nawet za gatunek gorszy. Najwięcej poszukiwane są gatunki „Gold melon“ i „Chevalier,“ które fabryka musi sprowadzać z gub. lubelskiej.

Z r y n k u.

Ceny bieżące na prowincyi. Duninów nad Wisłą. *Kuryerowi warsz.* donoszą, że w okolicach tej miejscowości drożyzna wzrasta z każdym dniem, dając się uczuwać szczególnie najemnikom oddalonym z cukrowni „Leonów.“ Cukrownia zmniejsza liczbę rąk dla tego, że kampania tegoroczna dobiega już kresu. Usuwani są obecnie tylko małorolni najemnicy, ale wkrótce przyjdzie kolej i na bezrolnych. Papiernia „Soczewka“ postępuje nieco inaczej: każdemu robotnikowi zapewnia zarobek prawie przez cały rok i dostarcza mu artykułów żywności po cenie zniżonej. Dla tego też robotnicy w „Soczewce“ płacą za chleb o grosz taniej, niż w „Leonowie.“ Funt masła w Duninowie kosztuje 21 k. do 25, mendel jaj — 30, kwarta mleka — 4 do 5.

— Warszawa, 1 marca. Dowozy wynosiły na targu praskim tylko 8 wagonów: 1 żyta, 5 owsa i 2 kukurydzy. Płacono: żyto wyborowe 126 do 128 k., średnie 123 do 125, pospolite od 112 za pud. Owies wyborowy po 89—95 k., średni po 82 do 87, pospolity 74 do 78. Grykę — stosownie do gatunku: 106 do 112 k. Jęczmień wyborowy 105 do 108 k., kasza jaglana słabiej: po 128 do 148 k. Kukurydza bez zmiany po 73 do 82 k. Na Placu Witkowskiego dowozy średnie i usposobienie słabe. Pszenicy wystawionej na sprzedaż było 400 korcy; poszukiwano wyborowych gatunków na „mąkę świąteczną“ i płacono za nie: 8,65—870, za białą 8,50, za pstrą 8—8,25. Żyta dostarczono 100 korców, za średnie płacono 7,15—7,20. Owsa dowieziono 100 korców, sprzedawano po 2,90—3,20. Siano kupowano po 30 do 37½ k., słomę po 25—28 za pud. — W składach tranzytowych do d. 1 marca pozostawało 709 wagonów wytworów roślinnych. — Na rynku cukrowym znaczniejszych zmian w ubiegłym tygodniu nie było. Fabrykanci trzymają się mocno z cenami, pomimo ograniczonego zbytu.

— Gdańsk, 29 lutego. Pszenica miała obrót spokojny — ceny niezmienne. Towar tranzytowy bez obrotów. W terminach tranzyta na kwiecień—maj ofiarowywany 181 mar., w poszukiwaniu dawano 183. Żyto bez zmiany, towar tranzytowy bez obrotów.

Rynek pieniężny. Berlin, 1 marca. Na rynku rubli i wartości ruskich, które miały dobry popyt — panowała zwyżka. Ruble w tranzakcyach końcomiesięcznych szacowano 202,75, w chwili zaś urzędowego zamknięcia obrad giełdowych — 202,50. Zwyżka wyrażała się w następujący sposób:

— Banknoty ruskie w obrotach natychmiastowych podniosły się o 90 fenigów, w dostawowych — o 1 markę.

— Listy zastawne ziemskie i pożyczki wschodnie podniosły się o 40 kop.

— Listy likwidacyjne podskoczyły o 30 kop.

— Ruble w gotówce 202,50, na dostawę—202,50.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Warszawskij Dniewnik pisze:

„Jak wiadomo, dnia 15 (27-go) z. m. nastąpiło najwyższe zezwolenie na wniosek p. Warszawskiego Generał-Gubernatora o dokonywanie sposobem gospodarczym, nie zaś przez przedsiębiorców, jak to bywało w latach poprzednich, robót szosowych z funduszów opłat drogowych. Z podejrzanych źródeł szerzyły się pogłoski, że do wykonania tych robót będą sprowadzeni robotnicy z gubernij wewnętrznych Rosyi, dotkniętych nieurodzajem; atoli w samej rzeczy roboty te będą dokonane sposobem gospodarczym, z widocznym dla każdego, kto ma oczy do patrzenia, celem okazania pomocy najuboższej ludności.

„Zbijając w Nr. 275 *Warszawskiego Dniewnika* z r. z., na podstawie dokładnych danych urzędowych, przesadzone wieści o nieurodzaju w Królestwie Polskiem, stwierdziliśmy jednocześnie podwyższenie cen zboża i kartofli, wywołane z jednej strony niezupełnie zadawalającym urodzajem, a z drugiej wzmożonym wywozem za granicę, po części zaś będące skutkiem ogólnej zwyżki cen w państwie. Według świadectwa urzędowego organu ministeryum skarbu *Wiestnik Finansow, Promyszlennosti i Torgowli*, N. 5), w 1890 r. do dnia 1-go (13-go) listopada wywieziono za granicę 1,562,000 pudów kartofli i mąki kartoflanej, a przez taki sam okres czasu w r. 1891 wywóz tych produktów wyniósł 2,490,000 pudów*). Różnica niemała! Skoro się zważy, że wywóz produktów z kraju tutejszego, z powodu jego położenia na granicy, nie jest połączony na granicy z takiemi trudnościami, jak z innych części państwa, i wymaga daleko mniej czasu, oraz gdy się przypomni, co się działo tutaj w okresie t. zw. gorączki wywozowej,— przejdziemy do wniosku, że znaczna część sporej nadwyżki wywozu, wynoszącej 928,000 pud. kartofli, głównego środka żywności najuboższej warstwy ludności tutejszego kraju, oraz mąki kartoflanej, w ciągu pierwszych 10-u miesięcy r. z., w porównaniu z tymże okresem r. 1890, stanowiły kartofle, wywiezione z Królestwa Polskiego.

*) W tablicy statystycznej *Wiestnika finansów* ilość wywiezionych kartofli nie jest, niestety, wykazana oddzielnie od mąki kartoflanej. (Przyp. redaktora *Dniew. Warsz.*).

„Spotęgowany wywóz w związku z pozostałemi okolicznościami, jakeśmy już zauważyli w nr. 275 *Warszawskiego Dniewnika* z r. z., musiał wywołać w niektórych okolicach tutejszego kraju ciężkie położenie pod względem żywności. Ze zbliżaniem się wiosny ten stan musiałby się jeszcze pogorszyć, ale władze rządowe przychodzą na czas z pomocą najuboższej części ludności. Jak wiadomo chodzi o przyciągnięcie do robót włościan małorolnych i bezrolnych. Z moralnego punktu widzenia pomoc w takiej postaci jest najbardziej pożądana, gdyż grosz zapracowany bywa ceniony przez ludzi zawsze więcej, niż podarowany i dla tego bywa oględniej wydawany. Słuszność wymagała, aby pomoc była wyświadczona przedewszystkiem włościanom małorolnym i bezrolnym.

„Roboty projektowane będą polegały na budowaniu nowych i naprawianiu istniejących już dróg i mostów, tudzież na dostawianiu potrzebnych do tego materyałów. Rzeczą jest nader ważną, że te roboty ze względu na swój rodzaj dadzą możność zarobku robotnikom z pewnem fachowem uzdolnieniem (np. cieślom) i włościanom, nieposiadającym żadnego rzemiosła, ale mającym konie (do przewożenia materyałów). wreszcie nieposiadającym ani rzemiosła, ani koni (przy przenoszeniu materyałów, robotach ziemnych itp.). Roboty te będą dokonane w szerokich rozmiarach. W siedmiu guberniach będzie ich dokonanych za 613,670 rub. 47 kop. Kwota powyższa jest podzielona na gubernie w sposób następujący:

Gub. Warszawska	116419 rub.	53	k.
„ Kaliska	94,286 „	—	„
„ Kielecka	82,348 „	42	„
„ Radomska	76,717 „	12	„
„ Piotrkowska	118,125 „	20	„
„ Płocka	69,474 „	2	„
„ Łomżyńska	56,390 „	18	„

„W gub. Siedleckiej, Suwalskiej i Lubelskiej roboty z funduszu z opłat drogowych będą prowadzone zwykłym trybem, przez przedsiębiorców, ponieważ w tych guberniach są dokonywane inne roboty rządowe, dostarczające zarobku ubogiej ludności miejscowej; w siedmiu zaś pozostałych guberniach znaczna część robót przy drogach będzie prowadzona sposobem gospodarczym i tylko w tych miejscowościach, gdzie się okaże niedogodnem wykonywanie sposobem gospodarczym, roboty będą oddane przedsiębiorcom. O rozmiarach robót, które będą dokonane sposobem gospodarczym, z wezwaniem do ich wykonania ubogiej ludności miejscowej, można sądzić z tego, że Najwyżej dozwolono zaczerpnąć w tym celu z zapasowych kapitałów ubezpieczeń 500,000 rs. Fundusze z tego źródła będą brane w miarę potrzeby i powinny być pokryte z opłat drogowych do końca r. b. Dzięki zezwoleniu na zaciągnięcie pożyczki z kapitału zapasowego, jest możność rychłego przystąpienia do tych robót i okazania pomocy ludności przed rozpoczęciem prac polnych.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Rada państwa orzekła, iż pomocnikami adwokatów przysięgłych mogą być tylko te osoby, które ukończyły kurs nauk prawnych w uniwersytecie i posiadają odpowiednie świadectwa. Każdy z adwokatów przysięgłych może mieć najwyżej dwóch pomocników, nie posiadających prawa prowadzenia samodzielnego spraw cywilnych i kryminalnych.

— Mieszkańcy osady Aleksandrowa w pow. łódzkim podali prośbę do właściwej władzy o prawo urządzenia kasy pogrzebowej, której celem będzie wydawanie wsparć na pogrzeby członków zmarłych.

— Zaprojektowana zapomoga na r. b. w sumie rs. 8,000 dla niżej uposażonych urzędników i dyetaryuszów magistratu warszawskiego zyskała zatwierdzenie władz wyższych.

— W ministeryum spraw wewnętrznych złożono projekt ustawy nowego Towarzystwa ubezpieczenia koni i bydła od kradzieży. Kapitał Towarzystwa wynosi 500,000 rs., podzielonych na udziały po 50 rs. Założycielami są właściciele ziemscy.

— Projekt nowego prawa o polowaniu ostatecznie zatwierdzono. Nawet właściciele ziemscy, pragnący polować w obrębie swych posiadłości, powinni, wedle przepisów, posiadać odpowiednie świadectwa.

— Ogłoszono rozporządzenie o utworzeniu w Warszawie więzienia ekspedycyjnego i zniesienia w tem mieście punktu etapowego ekspedycyjnego, stacyi ekspedycyjnej i aresztu detencyjnego.

— Gubernator lubelski przedstawił do zatwierdzenia ministeryum spraw wewnętrznych projekt ustawy kasy pożyczkowo-wkładowej dla urzędników instytucyj rządowych miejskich i powiatowych w Zamościu. Do uczestnictwa dopuszczeni będą urzędnicy nietylko władz administracyjnych, lecz także sądowych i naukowych.

— Otwarta na kolonii Drewnica filia zakładu sierot pod opieką warsz. Tow. Dobroczynności, ma na celu kształcenie chłopców w rzemiosłach, pozostających w związku z gospodarstwem rolnem. Obecnie dla braku funduszów znalazło tam pomieszczenie zaledwie kilkunastu wyrostków, z których na żądanie właścicieli ziemskich, kilku oddano na wieś.

— Na Szlązku austryackim panuje bieda skutkiem nieurodzajów zeszłorocznych. Na złagodzenie nędzy „według najściślejszych obliczeń“ jak donosi jeden z korespondentów — potrzeba około 40,000 złr. Suma ta wszelako nie obejmuje ziarna na przyszłe zasiewy.

— Z uchwalonych przez austryacką Radę państwa 360,000 złr. dla dotkniętych rozmaitemi klęskami w całem państwie, przypadnie 100,000 dla głodnych w Galicyi.

— W Wiedniu znajduje się obecnie 30,000 robotników z rodzinami bez zajęcia.

Szkoły. Podług zawiadomienia kancelaryi warszawskiego okręgu naukowego, egzaminy kandydatów z przygotowania prywatnego, pragnących otrzymać świadectwa z ukończenia szkół realnych, będą w r. b. odbywać się tylko w szkołach realnych w Łowiczu i Włocławku. W warszawskiej zaś, oprócz jej własnych uczniów, będą jedynie egzaminowani wychowańcy prywatnych zakładów pp. Górskiego i Pankiewicza.

— P. Mikołaj Straczyński, b. nauczyciel szkół rządowych, wystąpił z podaniem o udzielenie mu kaucyi na otworzenie specyalnej szkoły, bez żadnych podziałów na klasy, lecz mającej na celu przygotowywanie młodych ludzi do składania egzaminów dojrzałości w gimnazyach klasycznych i wyższych szkołach realnych.

— Nauczycielka prywatna z wyższym patentem, p. Emilia Ziółkowska, robi starania o pozwolenie na otwarcie dwuletniego kursu pedagogicznego dla kandydatek na nauczycielki, zamierzające zdawać egzaminy w zakładach rządowych.

Kasa drogi Nadwiślańskiej. W tych dniach odbyło się ogólne zebranie uczestników kasy pożyczkowo-wkładowej kolei Nadwiślańskiej, na którem p. Wojciechowski, prezes zarządu, odczytał memoryał, opracowany przez zarządy, odpierający zarzuty komisyi rewizyjnej. W usprawiedliwieniu zaś tych zarzutów p. Strachocki, członek komisyi rewizyjnej, odczytał referat, w którym dowodzi, iż zarząd kasy dowolnie stosował paragrafy ustawy, wydając pożyczki członkom nie mającym do tego prawa lub niedostatecznie poręczonym, przez co zmniejszył rękojmię i bezpieczeństwo wkładów, a zatem i zaufania do kasy. Okazało się, iż księgi rachunkowe prowadzone są niesystematycznie, tak dalece, iż rachunki osobiste uczestników nie zgadzają się z cyframi i w księdze głównej. Gdy bowiem ta ostatnia podaje pożyczek niespłaconych rs. 41,675 kop. 61, na rachunkach osobistych zapisane jest tylko rs. 41,110 kop. 76, czyli o rs. 564 kop. 85 mniej. P. Wojciechowski w obronie zarządu wyjaśnił, iż ten działał zawsze pod naciskiem nadzwyczaj trudnych warunków ekonomicznych ogółu uczestników i że dlatego musiał stosować pewne ulgi przy wydawaniu pożyczek, że jednak żadnych strat niema, gdyż „co jednym uczestnikom pomyłkowo dopisano, to drugim odjęto; zresztą w miarę możności pomyłki te się wyrównywają.“ Na zebraniu zatwierdzono komisyę dla dalszego zbadania stanu rzeczy i poczynienia zmian w ustawie kasy. W skład tej po balotowaniu weszli: pp. Żelisławski, Sierkowski, Rudkiewicz, Leśniewski i Wołowski. Zgromadzenie między innemi postanowiło, że do czasu wprowadzenia zmian w ustawie zarząd kasy ma stosować przepisy według zasad dotychczasowych. Z zatwierdzonego sprawozdania za dwa ubiegłe półrocza dowiadujemy się, że kasa liczyła 800 członków, z których ubyło 48, pozostaje więc 752. W pierwszem półroczu (od 1-go kwietnia 1891 r.) było czystego zysku 892 rs. 53 kop., z tego postanowiono wypłacić 1.86% dywidendy od wkładów obowiązkowych i 5% od dobrowolnych. W półroczu drugiem osiągnięto czystego zysku 1,275 rs. 5 k., z tego zarząd proponował wypłacić uczestnikom 3,25%, jako dobrowolnych. Na rzecz doprowadzenia ksiąg do porządku przeznaczono rz. 200, skutkiem czego dywidenda będzie zmniejszona. Na mocy głosowania weszli: do zarządu pp. Miciński, Wojciechowski, Wiewiórski, Strachocki, Babiński. Na zastępców: Budkiewicz, Karpiński, Prochnicki, Paydly, Titenbrum. Do komisyi rewizyjnej: Vorbrodt, Zawadzki i Czerwiński. Zarząd rozdzielił czynności w następujący sposób: prezesem został p. Wiewiórski, wiceprezesem p. Babiński, sekretarzem p. Rudkiewicz, buchhalterem p. Strachocki, kasyerem p. Miciński. Wybrany ponownie do zarządu p. Leon Wojciechowski zrzekł się mandatu. Zarząd w ten sposób utworzony postanowił zbierać się dwa razy tygodniowo dla przyznawania pożyczek i wogóle załatwiania czynności. Niezależnie od tego w razach nagłych, nie podlegających wątpliwości, pożyczki wydawane będą bezzwłocznie.

Wyroki sądowe. Bartieniewowi, oskarżonemu o zamordowanie artystki Wisnowskiej, kara wyznaczona wyrokiem sądu (8 lat ciężkich robót) zamieniona została na służbę żołnierską bez prawa awansu w ciągu lat 5.

— Lwowski sąd przysięgłych po jedenastodniowej rozprawie zasądził właściciela młynów w Galicyi, Majera Diamanda. (który zebrał przeszło pół miliona złr. za fałszowanie mąki), na 2½ lata ciężkiego więzienia, zaostrzonego jednorazowym postem co 14 dni i na zwrot kosztów poszkodowanym, którym sprzedawał mąkę zepsutą i przegniłą.

Konkurs. Moskiewskie Towarzystwo rolnicze za pośrednictwem swego oddziału jedwabniczego ogłosiło konkurs na najlepszą pracę o anatomii i fizyologii jedwabnika. Nagroda 500 rs. Dla autorów zagranicznych — 1000 franków.

Dobroczynność publiczna. Kółko osób dobroczynnych w Warszawie postanowiło zająć się zbieraniem starej odzieży dla rekonwalescentów w przytułku przy ul. Dzielnej.

— Znany filantrop, Antoni Biliński, ofiarował 80,000 złr. na rzecz nieuleczalnych we Lwowie, tudzież znaczną część majątku ruchomego na ten cel przeznaczył.

Zmarli. Klejber w Petersburgu; astronom i matematyk.

— Andrzej Długoszewski, inżenier górniczy, b. naczelny zawiadowca kopalń okręgu zachodniego, autor kilku rozpraw.

— Alfons Czarnecki, w Lublinie. Muzyk i kompozytor, twórca operetki p. t. „Wesoły kalabryjczyk.“

— Dr. W. Junkier w Petersburgu; podróżnik po Afryce.

— Dr. H. R. Aubert, prof. fizyologii w Rostoku.

— Baltazar Gammuci we Florencyi; kompozytor muzyczny.

— Alfred Maury, archeolog, w Paryżu.

— Jerzy Philipps, w Cambridge, znany matematyk, teolog i oryentalista.

— Wilhelm Müller, w Ravensburgu; historyk.

— Teodor Malsson, w Greiswaldzie; znany botanik.

— Lud. Eichrodt w Lar; poeta-humorysta.

Sprostowanie. W n. 9 *Prawdy* str. 107, szp. II, w 27 od dołu zamiast *najwięcej*, powinno być *najmniej*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Февраля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.